Nr. 7. **17. Kwietnia** **1860.**

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

„Dam chwałę Bogu: a powiem prawdę, niechaj „boli jako chce."

Ze starego rękopismu.

Wstęp.

Przy sprzedaży majątku Grodowisk, który w roku 1852 przeszedł w ręce niemieckie, została sprzedaną szafa pełna starych papierów. Owoczesny właściciel, człek nowożytny, zaczem wolen od wszelkich staroświeckich przesądów, uznał ją za grat niepotrzebny i kazał razem z innemi gratami sprzedać przez licytacyę. Za kilkanaście złotych kupił ją jeden z moich przyjaciół: a nie mając sam cierpliwości do decyfrowania tego rodzaju dziejowych zabytków, rozkazał ją kilka lat temu władować na furę i do mnie odesłać. Oddychając chętnie od czasu do czasu starych szpargałów pleśnią, choćby tylko dla tego, ażeby potem tem wdzięczniej ocenić wartość świeżego powietrza, wziąłem się zaraz do przejrzenia jej treści: i znalazłem w niej daleko więcej, niżeli się zwykle w takich szafach znajduje, których nie mało już przeszło przez moje ręce. Wprawdzie w górnej połowie nie znalazłem nic takiego, coby było godnem szczególniejszej uwagi: były to bowiem same majątkowe transakcye, intercyzy i działy; pomiędzy niemi parę przywilejów królewskich na Starostwa, kilkanaście instrukcyi poselskich, kilkadziesiąt aktów grodzkich niewielkiej wagi, a zresztą same zbożowe rejestry. Ale za to w szufladach dolnych znalazłem kilkaset listów, kilka dzienników przez przodków tej rodziny własnoręcznie pisanych i kilkanaście kalendarzy, zapełnionych notatkami po wszystkich stronnicach próżnych. Materyały te sięgają w czasy bardzo dalekie; ale od drugiej połowy XVIII wieku idą już w pełni i dochodzą aż do roku 1852. Przejrzane pilnie, przypominają one kilka zdarzeń publicznych dość ważnych — a przytem dają bardzo dokładną historyę tej rodziny, która przez cały ten czas posiadała wyż wymienioną fortunę. Znotowałem tedy te dzieje i zachowałem je do użytku w czasie późniejszym.

Ale zapoznawszy się z bliska z historyą ojców i dziadów, niepodobna jest patrzeć obojętnie na życie i czyny ich wnuków. Ztąd poszło, iż się starałem zaznajomić z tem wszystkiem, co się działo w tej rodzinie od roku 1852, a co było ciekawszem, obaczyć na własne oczy. Tym sposobem mógłem tę kronikę przedłużać — i dociągnąć ją wreszcie aż do dnia wczorajszego.

Rzecz ta, acz nieudolnem spisana piórem, spodziewam się, iżby powinna obudzić choć jakiekolwiek zajęcie.

Tuszę to o niej nie dlatego, iż obejmuje historyę jakiejś starożytnej rodziny: ale dlatego, iż przedstawia, jak się charaktery, opinie, uczucia i losy ludzi jednego rodu z upływem czasów zmieniały.

Nie idzie mi tu bowiem wcale o samą alboliteż o jedną rodzinę: ale o ducha czasu, który przez rodziny objawiał i objawia się w społeczeństwie.

Nie pojmuję też tutaj rodziny, w jej najciaśniejszem pojęciu. Historya pojedyńczej rodziny, zamkniętej w sobie i ograniczonej na siebie, chociażby imię jej było nie wiedzieć jak sławne i świetne, może być tylko zajmującą bajeczką: albowiem losy jej są narodowi, myślącemu o sobie, obojętne zupełnie. Tylko taka rodzina, która się zawsze i wszędzie czuje być cząstką i odtętnia w sobie każdą miłość i boleść, każde zwątpienie i każdą nadzieję, tej wielkiej naszej rodziny, której wszyscy nosimy nazwisko, może mieć prawo do zajmowania sobą uwagi publicznej.

Z takiego też stanowiska przedstawiając ten przedmiot, spodziewam się wreszcie, iż człowiek myślący trzeźwo o naszej teraźniejszości, ze słusznym względem na przeszłość i przyszłość, znajdzie tu potrąconą niejedną kwestyę obyczajowo-społeczną, której rozwiązanie właśnie się teraz poczyna lub kończy a od którego-to rozwiązania zależy niejedna żywotna siła naszej przyszłości.

DZIEJE BAJECZNE.

Rodzina szlachecka Żydowskich należy do najdawniejszych w Polsce. Pieczętowała się herbem Grabie i wyprowadzała jak wiele innych swój ród z Arki Noego, lecz po staremu pisała się z Żydowa. Rodziny

szlacheckie w Polsce rozmaitą chodziły koleją. Są między niemi takie, które z ciemności wynurzyły się w historyę dopiero w wieku XVIII albo i później, a pomimo to niebawem najwyższych dostąpiły zaszczytów; i przeciwnie są inne, które istniały od wieków, a nigdy trwałej nie doczekały świetności. Do tych ostatnich należeli Żydowscy. Już w wieku XIII znajdujemy o nich wzmiankę dziejową, gdzie na przywileju księcia Henryka z r. 1239 *inter præsentes milites* wymieniony jest *Javorius de Żydów, judex curiæ nostræ.* Za Władysława Jagiełły Domarat z Żydowa hetmani z chwałą wyprowadzonej przez siebie chorągwi i dank królewski odnosi pod Grunewaldem. W kilka miesięcy potem pasowany jest na rycerza. Za Kazimierza Jagiellończyka Dobiesław z Żydowa bije się przez cały swój wiek mężki przeciw Krzyżakom, starostuje po zamkach i grodach, posłuje po kilkakroć do Cesarza i do Wenetów — a na starość zakłada w Małej-polsce wieś Grodowiska. Odtąd Panowie z Żydowa na wzór swoich braci z Potoka, Tarnowa, Tęczyna lub Ossolina, zaczynają się zwać Żydowskimi; lecz mimoto służą dalej ojczyźnie.

Jakoż niebawem odznacza się z nich Jan, sędzia grodzki krakowski, o którym swojego czasu mnóstwo po Polsce biegało facecyi. Miał bowiem przedewszystkiem innem zawsze dobrą fantazyę a dowcip tak ostry, iż się mógł nim pomierzyć choćby i z samym panem Mikołajem Reyem z Nagłowic. Jednego dnia wchodzi do antykamery królewskiej i zastaje tam jak zwyczajnie wielką liczbę dworzan i szlachty. Dowcipnego każdy rad wita dowcipem, więc i jego jakiś pusty młodzieniec zapytał: — Mości panie Sędzio! czy za cudzołostwo jest kara śmierci? — Nie! Mości panowie, — rzecze na to Sędzia, — bo was tu przecie wszystkich widzę z głowami. — Otwierają się drzwi, wchodzi Jordan, Wojewoda Bracławski, i powitawszy drugich, rzecze do niego z uśmiechem: — Mości panie Żydowski! cóż tam słychać w Jeruzalem? — A na to Sędzia: — Źle, Mości panie Wojewodo! żydzi zawsze myją swe brudy w Jordanie. — Tak bywał zawsze na zawołanie i nigdy nie stracił fantazyi, jako zacnemu mężowi przystało; toż za to nieraz, kiedy był dobrej myśli, cały królewski dwór trząsł się na jego skinienie od śmiechu. Ale był przytem mężem poważnym, nieskazitelnie cnotliwym a sędzią dziwnie surowym i trafnym. Najzawilsze sprawy rozstrzygał kilkoma słowy, a kiedy się tego domagało prawo, nie przepuścił i bratu. Raz brat jego cioteczny, Imci pan Marchocki, człowiek wielce bogaty lecz mało sumienny a chciwy, zajechał był dobra sąsiedzkie i miał o to proces. Sądząc się u niego a mierząc ludzi swym własnym łokciem, był pewnym, że wygra, i męczył go o spieszne ferowanie wyroku. Znudzony Sędzia rzecze mu wreszcie: — Przyjdź do mnie jutro a znajdziesz wyrok już napisany. Przyszedł Marchocki, a byłoto właśnie święto trzech króli; zaczem go Sędzia zaprowadził przed drzwi, na których starym zwyczajem były kredą napisane trzy litery C. M. B. — Cóż to ma znaczyć? pyta Marchocki. — To jest wyrok dla ciebie: *Cedat Marchocki Bonis.* Z cnót swoich miał pan Jan wielkie poważanie u ludzi i starożytne swe imię bardzo pięknie potomności zalecił. Ale dawno-to mówią, że człek sprawiedliwy na sędziowskim urzędzie nie utyje: toż i on na nim nie utył. Do poważania dla niego każdy się przyznawał publicznie; lecz potajemnie niejeden pod nim nurtował. Przyjaciół miał wielu, lecz niepomocnych; nieprzyjaciół mało, ale szkodliwych. Czerniono go i gryziono na wszystkie strony: tutaj za dowcip, tam za prawdomowstwo, gdzieindziej za sprawiedliwość. Ztąd daleko więcej doznał w swem życiu zgryzoty, niżeli pociechy. Mimoto wszakże wytrwał na swoim urzędzie do śmierci i do grobowej deski był jednakowym. Tacy bywali podówczas wszyscy...

Ale już nie takimi mieli się rodzić na przyszłość. Sądownictwo zaczęło się psować, sumienia się rozwalniały, przekupni sędziowie już byli za pasem. Przeczuwając to Jan, co innego też swoim zalecił następcom. Oznaczył przytem, czemby się powinni zajmować na przyszłość. Wszystko to jest spisane w jego testamencie, który w odpisie znalazł się w szafie papierów Grodowiskich. Z tego testamentu dowiaduję się jeszcze o jednej tradycyi rodzinnej Żydowskich, należącej do dziejów bajecznych. Oto jeden z ich przodków; niewiadomego nazwiska a żyjący ile się zdaje jeszcze w wieku XII, był niezmiernie chciwym marnego zysku. Toż dostawszy od króla kawałek ziemi *jure militari,* mniej na niej osadzał chłopów a więcej żydów, bo ci mu więcej przynosili korzyści. Pomału żydzi wyrugowali chłopów i cała osada się zapełniła żydami i została nazwana Żydowem. Jego następcy, ludzie innej fantazyi, wielce się tem sromali; lecz trudno było temu poradzić. Nie mając innej posiadłości, musieli siedzieć w Żydowie i pisać się ze Żydowa. Ale kiedy się wreszcie król Kazimierz ulitował nad nimi i nadał im inny kawałek ziemi, na którym założyli wieś Grodowiska; najpierwszą ich rzeczą było, nie przypuszczać żadnego żyda do wsi i nigdy nic nie zrobić takiego, coby trąciło żydem. Tego się wszyscy jak najświęciej trzymali aż do czasów ostatnich — i to przedewszystkiem pan Jan w testamencie swoim następcom zaleca. Dalej tak pisze: — „Pług i szabla, a kiedy jest wokacya po temu, stuła i komża, daj Boże! infuła, to niechaj będą WMPanów rzemiosła. Palestry nie ganię; zacne to jest *officium:* ale po experyencyach *per me ipsum* zrobionych, nie namawiam do tego. Schudłem na tym urzędzie, choć mi doma pług orał, a jeszcze mi za to płacono cierniami. Do urzędów, *tam* królewskich, *quam* publicznych, także nie namawiam. Lichy jest z tego pożytek a tentacyi wiele. Lepsza służba w polu. Ale kiedyby przyszły czasy spokoju, trudno siedzieć bezczynnie. Lenistwo miejcie sobie w obrzydzeniu na zawsze i nie szukajcie dla niego żadnej obmowy, bo go nic nie obmówi. Byli i mego czasu tacy, co siedzieli przez całe życie w domu i ssali łapy jak niedźwiedź —

a omawiali się temi słowy: Na wojnę nie idę, bom chor i nie sprostać mi już wojennym niewczasom; urzędu nie biorę, bo lichy król, nieprzyjaciel narodu, niewarto pod nim sprawować urzędu. Anożto judaszowska obmowa! Żaden król nie jest tak lichy, ażeby pod nim nie można sprawować urzędu; sa też urzędy dla króla, są dla narodu, a wybór nietrudny. *Tamen* zawsze czynnym być trzeba: z królem, dopóki można; a dalej z narodem. To WMPanom *ante omnia* zalecam. *Ergo* jak mówię: pługa nie rzucać, bawić się nim uczciwie a pracowicie, ażeby nie potrzeba gęby rozdziawiać na beneficya, i być też zawsze wolnym człowiekiem. Faworów się strzedz jako ognia, bo to marność światowa a ciężkie brzemię na plecach, jeśli też nie plugawe. W domu skromniutko a na wojnę sowito; pokornie przed Panem Bogiem i ludźmi dobrej woli a jeżem przeciw złośnikom: to moja rada, którą WMPanom daję z Bogiem *in sæcula sæculorum* dopóki ten ród nasz trwać będzie. Amen". — I tych rad także trzymało się ściśle jego potomstwo. Ziemianie a żołnierze, przedewszystkiem żołnierze. Toż gęsto bywali w tym rodzie mężowie cnót przednich i znamienitych.

Krzysztof Żydowski, żyjący za Jana Kazimierza, całe życie strawił na wojnach. Mówiono o nim, że mu pancerz przyrósł do ciała i zwano go pospolicie: Mężem żelaznym. Dowiedział się o nim król Michał, uszanował, ukochał i konferował mu Starostwo Sokolnickie. Ale Krzysztof nie przyjął. Domyślali się jego przyjaciele, iż dlatego tego Starostwa nie przyjął, że było małe i nieintratne a przytem znacznie od Grodowisk odległe, i udzielili tego domysłu królowi. Namyślił się król i postanowił mu nadać Starostwo krośnieńskie. Mógł on przyjąć każde Starostwo, bo jako *panem bene merentium* przyjmowali je wszyscy, a tem bardziej mógł przyjąć krośnieńskie, które było jednem z największych i tylko po hetmańskich chodziło rękach. Ale on i tego nie przyjął i rzekł: — „Nie służyłem jako zaciężny, tylko jako sługa ojczyzny, i żadna mi się za to nie należy nagroda. Gdybym przyjął jakąkolwiek, więcejbym stracił niż zyskał, bo za grosz marny zaprzedałbym zacną i niczem nie nagrodzoną zasługę". — Nie wiedząc, co już z nim począć nareszcie, chciał mu król dać kasztelanię: ale i tę zrekuzował. Dzisiaj za takie rekuzy możeby się gniewano; ale król Michał tylko tem więcej powziął dla niego szacunku. Pojechał też Krzysztof do niego, podziękował za afekt i przyprowadził swojego syna ze soba, który już z nim bywał na wojnach, ale jeszcze Warszawy nie widział. Tam go królowi przedstawił i rzekł: — „Nie gniewaj się, Miłościwy Panie, żem żadnego faworu od ciebie nie przyjął. Przyjąć niczego nie mogłem, bo takie w naszym rodzie jest przykazanie. Ale oto przedstawiam ci mego syna Adama, którego, jeśli go wyrostkiem odumrę, racz mieć w swojej opiece." —

Jednak i Adam nie potrzebował niczyjej opieki. Ożenił się z Szydłowską, dziedziczką bogatych włości, i jej posagu użył bardzo chwalebnie, bo dwie chorągwie własne poprowadził pod Wiedeń. Bił się potem pod Parkanami, lecz nieszczęśliwie, bo się dostał w niewolę. Męczony w Carogrodzkiem więzieniu, ażeby przyjął wiarę bisurmańską, pozostał wiernym Chrystusowej nauce i był tak szczęśliwym, że swoją stałość przypłacił śmiercią...

Syn jego Błażej pojechał za nim, zwłoki jego wykupił i we czci synowskiej wiózł je do Polski; lecz napadnięty przez żołnierstwo wołoskie, i zwłoki ojcowskie utracił, i sam dostał się do niewoli, w której lat kilkanaście przejęczał. Powróciwszy do Polski, zastał Jana III już w grobie, Augusta II na tronie a Polskę zalaną nielitościwie burmistrzującymi po niej Sasami. Aczkolwiek długoletniem więzieniem tak był zbolały, iż mógł się śmiało usunąć od wszelkiej służby publicznej, uczynił jednak przeciwnie. Przedewszystkiem przysiągł przed obrazem Chrystusa Pana, dopóty nie spocząć w poczciwej pracy, dopóki ostatni Sas nie ustąpi z granic uciśnionej Rzeczypospolitej. Zaczem się stał jednym z najczynniejszych propagatorów przeciwko uciskom Saskim. Natchniony świętem uczuciem miłości ojczyzny, nieopisane wytrzymał trudy, chociaż był bardzo watłym na zdrowiu. Zmieniając co chwila odzież, przekrzyżował on całą Polskę wzdłuż i na poprzek, budząc uspionych ze snu a martwych sercem z kamiennego pogrzebu. Tu jako pielgrzym wracający ze ziemi świętej, tam jako mnich kwestujący, dziś jako kupiec rozwożący towary, jutro jako szlachcic ubogi szukający służby, przewoził tajne korespondencye Panów z Rusi do Wielkopolski, z Mazowsza na Żmudź i Litwę — a wstępując po dworach, zaścianka ch i chatach, wszędzie koił boleści, ożywiał serca, wznosił umysły i wskrzeszał zaumarłą nadzieję. Z zawiązkiem konfederacyi Tarnogrodzkiej doczekał się wreszcie tych nadziei ziszczenia: a wtedy miecz przypasał do boku, podniósł trud nowy i stał się jednym z najwaleczniejszych żołnierzy. Wyswobodzona została w końcu ojczyzna z pod obcego najazdu — i odetchnęła po Niemym Sejmie swobodnie. Ale Błażej mimo to nie oddawał się zbytnim uciechom; kochającem swem sercem nowe przewidywał nieszczęścia, kilka lat jeszcze w pobożnej przeżył żałobie — a umierając, gorącemi zalał się łzami: — O! moja biedna ojczyzno! jakież będą twe losy w przyszłości! —

Ale to są dzieje bajeczne...

DZIEJE PRAWDZIWE.

Od roku 1760.

Wieś Grodowiska leży pomiędzy Wisłoką a Sanem, w położeniu górzystem, nie bardzo pięknem i nie bardzo wdzięcznem. Ziemia tam lekka, składająca się z glinki i piasku, w położeniach niższych pomieszana z pruchnicą, na pagórkach obejmująca cokolwiek marglu i wapna. Grunt taki jest urodzajny: wydaje wyborne żyta i koniczyny, rodzi obficie ziemniaki, udaje

się nawet na nim jęczmień i pszenica. Ale tylko bardzo oględne i umiejętne gospodarstwo może go przy urodzajności utrzymać; kilka lat nieprzezornego łakomstwa na zboże wyplenia go zwykle na lat kilkanaście. Z tem wszystkiem Grodowiska bywały swojego czasu bardzo intratne. Był to bowiem majątek jak na te okolice dość znaczny: składał się z siedmiu wiosek, z czterech folwarków, obejmował przeszło tysiąc dwieście morgów ornego pola i około dwa tysiące morgów lasu, miał gorzelnię, browar, tartaki, młyny i blichy, co wszystko przy licznej pańszczyźnie łatwe i znaczne przynosiło dochody. Toż dawni jego właściciele zaopatrzyli go po ojcowsku, wymurowali pałac duży w guście saskim, pobudowali oficyny i stajnie, pozakładali sady, ogrody, pasieki. Nie zapomnieli także o upiększeniach i nasadzili drzew mnóstwo, z których stuletnie świrki i wiązy a kilkaset-letnie dęby i lipy, to poustawiane rzędami, to luźnie porozrzucane po ogrodowej przestrzeni, na obcym nawet przechodniu poważne sprawiają wrażenie. Pomiędzy temi drzewami widać było tu jakąś starożytną chińską altanę, tam chatkę pustelniczą mchami i trzciną okrytą, w głębi staw gęstem zarośnięty sitowiem, w oddaleniu na wzgórzu biały błyszczy kościółek, fundowany przez pobożnego Błażeja a mieszczący pod sobą święte kości i prochy styranych na usługach ojczyzny pradziadów. Do koła obszernego ogrodu idzie mur niegdyś żelaznemi zjeżony kolcami, dziś zarośnięty nieprzebytemi głogami, po nad które powystrzelały do góry berberesy olbrzymie i przegiąwszy się przez nie, zwieszają drobniutkie kwiatki i liście ku ziemi.... Dość, że ta dawna szlachecka siedziba, nietylko wygląda po staremu zamczysto i dworno, ale zarazem tak silnie uderza swoją starożytnością, iż na jej widok pomimo woli tęskne się z piersi wydobywa westchnienie a niecierpliwe usta pragną zapytać: — Któż te pustynie z taką miłością ozdobił? Gdzież są ci, ktorzy tu dawniej mieszkali?

W roku 1760 mieszkał tu pan Jozafat Żydowski. Był to już starzec natenczas, siwowłosy, poważny, niskiego wzrostu, szerokich pleców, krótkiego karku i cokolwiek otyły. Życie jego wypadło za Sasów, więc je przeżył po sasku: był człowiekiem swojego czasu. Ale był dobrym człowiekiem. Żył wesoło, ale fortuny nie tracił; oszczędnym był, ale nie skąpym. Doskonałym był mężem, zawsze w serdecznych afektach dla swojej ukochanej jejmości, zawsze z konsyderacyą dla niej do śmierci, a kiedy ją Bóg do swojej powołał chwały, postawił jej marmurowy nagrobek, ufundował dwanaście mszy świętych rok rocznie za jej duszę, i nigdy żadnej z nich nie opuścił. Po jej śmierci, miłość, którą miał dla niej, przeniósł na dzieci a miał ich dwoje: córeczkę, którą młodo wydał za mąż i wyposażył gotówką — i syna Bernarda, który, acz jeszcze wiotki, przerósł już ojca o jakie pół głowy. Trzymał się zawsze ściśle rodzinnych przykazań: żyda nie cierpiał w swych dobrach, poddanych nie obciążał a zubożałych wspomagał, w braku wojny służył ojczyznie na rozmaitych urzędach. Nie zważał na to nic, że urzędowanie jego żadnej narodowi nie przynosiło korzyści: on wypełniał swój obowiązek. Trzymał zresztą natenczas z królem, bo chociaż król był lichy, nie był przecież nieprzyjacielem narodu. Ale kiedy po śmierci Augusta III zaniosło się na wybór Poniatowskiego, pan Jozafat stanął jeżem przeciwko niemu; nie dlatego, że Piast, ale że się na wolny tron obcą forytował pomocą. Złączył się więc z najzacniejszymi obywatelami ojczyzny: z Potockimi, Branickimi, Radziwiłłami... i nie żałując zdrowia ani szkatuły, poszedł szydłem przeciwko f a m i l i i. Kroniki owoczesne piszą, że dokazywał zawzięcie pomiędzy szlachtą — i jeżeli południowa część województwa Sędomirskiego była tak stanowczo Poniatowskiemu przeciwną, to było to jego robotą. Zaczem na czele licznego pocztu szlachty na elekcyę wyruszył. Ale z elekcyi musiał uciekać... tak jak wszyscy, bo *nec Hercules contra plures.*

Branicki, Sołtyk i inni ujechali do Węgier, a on do Grodowisk. I zasiadł w domu, przypatrując się ze smutkiem tym czarnym chmurom, które się zaczęły wieszać nad naszą nieszczęśliwą ojczyzną. Niebawem popowracali owocześni wychodźcy do kraju, Stanisław August osiadł spokojnie na tronie: i zaczął się ustalać powoli jakikolwiek porządek rzeczy. Nowy król, łaknący przedewszystkiem popularności i miłości narodu, usiłował swych nieprzyjaciół rozmaitemi środkami ugłaskać. Królewskie fawory, dygnitarstwa, urzędy, Starostwa, posypały się jak grad pomiędzy malkontentów — a im kto się okazał niebezpieczniejszym królowi, tem mógł być pewniejszym jakiegoś ukontentowania od niego. Tym trybem i panu Jozafatowi dostała się kasztelania Słońska. Otrzymawszy zawiadomienie o tem, długo się nad swoim obowiązkiem namyślał. Lecz namyśliwszy się, rzekł:

— Przyjmę, bo sam jeden przeciwko tobie stawać nie mogę. Przyjmę, bo to nie twój urząd, lecz narodowy. Ale mnie przecie tem bzdurstwem nie kupisz.

I przyjął. Ale pomimo to był zawsze w dobrem porozumieniu z dawną partyą saską a teraz już narodową, otrzymywał od niej nieprzerwane nowiny, szerzył je między bracią, budził dobrego ducha, nie żałował spiżarni i piwnicy dla gości, aby się też bliżej ze sobą stykały poczciwe serca i lepiej porozumiewały umysły — a kiedy wreszcie konfederacya Barska wybuchła, on był najpierwszy, który do Sędomierza poleciał. Biegnąc tam, wziął i Bernarda, który już był młodzieńcem dwudziestoletnim, nabrał koni i ludzi ze sobą, ba! i dłużek jakiś na Grodowiska zaciągnął i nie pytał nic na to, że swoją fortunę Bożej zostawiał opiece. Pierwsza ojczyzna nad wszystko! Kiedy ona będzie w dobrem zdrowiu, to synom jej chleba nie braknie; a kiedy ona w ucisku, nie warto jeść, nie warto i żyć na tym świecie; — to były jego ostatnie słowa, kiedy wyjeżdżał z pod kolumnady pałacu.

Jakoż przystąpiwszy do konfederacyi, chociaż stary i ciężki, służył jej wedle sił swoich przez całych lat pięć. Kiedy mu ręka osłabła, to obwiązywał ją paskiem św. Franciszka, bardzo na słabość ręki sku-

tecznym—a kiedy i pasek święcony już nie pomagał, to zasiadał w radach i konsyliarzował. Bernard zaś bił się bez paska bo był młody i krzepki, i bił się chwalebnie *usque ad finem*. Zważywszy środki ówczesne tych walecznych żołnierzy, brak broni i koni, pieniędzy i ludzi, pomocy a nawet otuchy, wytrwałość ich zdaje się dzisiaj bajeczną. Ale taka to była natenczas miłość u ludzi, gorąca, jawna, nieprzeparta, niezwyciężona, a taka miłość stanie za wszystko.....

Po skończeniu konfederacyi, kiedy już ostatnie resztki jej sił zostały rozbite i jej ostatnie fortece dostały się w ręce nieprzyjaciela, było najwięcej takich, którzy już całkiem stracili nadzieję; ale byli i tacy, którzy jeszcze i wtedy jej nie stracili. Do tych ostatnich należała sama Jeneralność, a z nią trzymał i Bernard, który dosłużywszy się szablą i głową rangi pułkownika, czuł to w swem sercu, że gdyby wszyscy byli tacy jak on, to jeszcze nie było czego rozpaczać. Jeneralność, nie mając już nadal przytułku dla siebie w obrębie państw austryackich, wyniosła się do Bawaryi — z nią chciał się i Bernard wynosić. Ale go jego ojciec powstrzymał.

„Chwalę tę szlachetną persewerancyę waćpana, Mości pułkowniku— pisał do niego ojciec, już znajdującego się w Białej i oczekującego na pieniądze i listy z Grodowisk — ale przedstawiam, że Jeneralność się illuzyami unosi, a służyć ojczyznie albo-li też illuzyom, to nie jest jedno i to samo. Jeżeli zresztą Jeneralności się uda za obcych potencyi pomocą, w którą ja jednak nie wierzę, zrehabilitować tę naszą upadłą sprawę, to uda się jej to i bez ciebie, a ojciec twój siedmdziesięcioletni i mocno stargany starzec, nie wyżyje tu między Niemcami bez ciebie — i nie wyżyją tu Grodowiska bez ciebie, które ażeby się na dal w naszem utrzymały imieniu, jak to wiesz dobrze, nie jednej potrzebują pracy i reparacyi.“

Ten list nawrócił Bernarda do domu.

Tak w roku 1773 zasiedli obadwa na swej ojcowiźnie. Stracili już prawie wszystko, co tylko mogli utracić: ojczyznę, nadzieję, połowę zdrowia i połowę fortuny; ale pomimo to byli spokojni; jako woda stojąca. Pan Bóg zarządził wypadkami wedle swej woli, ale oni wypełnili swój obowiązek. Uczucie dopełnionego obowiązku zastępowało im wszelkie rodzaje szczęścia, których im losy przeciwne nie pozwoliły dostąpić. Z takiem uczuciem można być wszędzie szczęśliwym, w ubóstwie i w nędzy, w fortecy i na sybirze....

Tak byłby zacny staruszek przeżył zapewne, jeżeli nie szczęśliwie, to przynajmniej spokojnie, jeszcze lat kilkanaście, ale mu życia ukrócił następujący wypadek. Jak Stanisław August po swojem na tron wstąpieniu, tak postępuje zazwyczaj rząd każdy, ujmując sobie faworami znamienitszych obywateli.

Po wcieleniu Galicyi udzielono tytułu hrabi każdemu, kogo rok 1772 zastał piastującego urząd koronny, albo sprawującego starostwo grodzkie. Nie myślał o tem niczego już nie pragnący dla siebie staruszek; ale pomimo to dała się słyszeć jednego dnia trąbka pocztarska przed kolumnadą pałacu w Grodowiskach, a niebawem stary lecz pilny w swej służbie Sebastyan wprowadził pocztyliona ubranego w wielką paradę do sali. Tam siedział staruszek w poręczowem krześle i lulką się bawił; przystąpił tedy do niego pocztylion i wręczył mu list wielki, wielką zaopatrzony pieczęcią. Spojrzawszy na list, pan Jozafat prawie się przestraszył, i spytał drżącemi usty:

— Cóż to jest, mój kochany?

— Pismo od pana prefekta — odpowiedział wesoło pocztylion — niech Jaśnie Wielmożny pan sam czyta, bardzo to Jegomości ucieszy.

Ale staruszek trzymał nierozpieczętowany list w ręku i myślał nad nim: a wreszcie kazał zaprosić pana Bernarda. Przyszedł Bernard, ojciec opowiedział mu rzecz, i swoje domysły, i swoje chęci.

— Na każdy wypadek trzeba przeczytać — rzekł Bernard. Rozpieczętowano i przeczytano. Bernard trzymał otwarty list w ręku i milczał; staruszek załamał ręce i zawołał:

— A czemżeż sobie zasłużyłem na taką łaskę! Zaczem się zerwał, oddał pocztylionowi list ten na powrót, dodał do niego kilka dukatów i rzekł:

— Oddaj to mój kochany, panu prefektowi, i powiedz mu, że nie przyjmuję i nie przyjadę. Pocztylion stał przez chwilę przy drzwiach niepomału zdumiony; ale zręczny Sebastyan mrugnął na niego, a tak obadwa wyszli razem ze sali.

Kiedy ojciec ze synem zostali sami, staruszek rzekł: — Cóż w tem rozumiesz?

— Stało się tak — rzecze Bernard — jak się stać było powinno, ale bodaj by nie było z tego jakich przykrości, bo czasy króla Michała i naszego pradziada Krzysztofa już dawno minęły....

— Eh! co mi zrobią! — zawołał z oburzeniem Kasztelan — dobrodziejstwo nie obowiązek, wolno go dać albo nie dać, wolno przyjąć albo nie przyjąć. A zresztą.... ja już i tak jedną nogą w grobie i mam sobie wszystko za hetkę pętelkę!

Czy nowy duch, czy chwilowo trworzliwa myśl, przemówiła z Bernarda, dosyć że rzekł: — Ale ja jeszcze obydwiema nogami na ziemi!

— Ty? — powtórzył staruszek i spojrzał mu w oczy, zaczem dodał: — To prawda; ale ażaliżbyś i ty nie poszedł w grób ze mną, kiedy by tego była potrzeba?

— Pójdę mój ojcze! choćby i w grób — zawołał Bernard i ścisnął ojcowskie ramiona. I znowu spokój był w Grodowiskach.

Ale już nie na długo. Nazajutrz bowiem było to właśnie św. Bernarda, imieniny Kasztelanica, i najechało się dużo gości do Grodowiskiego pałacu. Staruszek był dobrej myśli, bawił się z sąsiadami, ale o wczorajszem zdarzeniu nic nie wspominał. Opowiadał tylko *per ambages* o rozmaitych nowożytnych honorach, o zacności polskiego szlachectwa, jako jest pierwszym klejnotem na świecie i jako go, kromia cnoty i zasług około ojczyzny, nic przyozdobić nie może.

Sąsiedzi tego nie rozumieli; ale zrozumieli niebawem, kiedy wszedł do sali jadalnej dragon od pana prefekta i doręczył Kasztelanowi pisemną cytacyę, aby się osobiście stawił w obwodowym urzędzie. Stało się to właśnie podczas samego obiadu, staruszek już był po kilku kielichach, więc go to jeszcze tem bardziej wzburzyło. Zerwał się jak oparzony z krzesełka: — Mnie! do urzędu! hej! Sebastyan! za drzwi z tym.... Ale nim tych słów kilku domówił staruszek, już nie było kogo wyrzucać za drzwi. Zaczem się uspokoił, pił na fantazyę i mówił: — Już ja jak widzę nie doczekam się grobu w spokoju. Niedawno skończyłem wojnę z Moskwą i regałami, teraz mi przyjdzie zaczynać ją z kim innym. I spodziewam się, że mnie WMPanowie nie opuścicie! — Rozgłośne krzyki się rozniosły do koła stołu, zachmurzyło się niebo i biły srogie pioruny do późna w noc.

Nazajutrz był znowu taki sam dzień jak wczorajszy — i wszyscy goście zostali. I znów był obiad huczny i wesoły. Kasztelan siedział na końcu stołu, wznosił coraz-to nowe przezdrowia, a wierny Sebastyan stał za nim i podawał mu omszone butelki. Szóste już zdrowie wniósł był Kasztelan i właśnie zawołał: *Et post sex nulla lex!* — Kiedy w tem otworzyły się drzwi z wielkim łoskotem i wpadło przez nie do sali kilku nieznanych ludzi w mundurach a sam Prefekt na czele. Zapomniał się do tego stopnia nieznający swych obowiązków urzędnik, iż wpadł zaperzony i zaczął brzydkiemi słowy lżyć Kasztelana. Na jego widok i słowa zerwał się z krzesła staruszek, nabiegł krwią cały i zawołał: — Hej! Sebastyan! a podaj-no mi gwintówkę! — Wśród ogólnego zdumienia z jednej a hałasu z drugiej strony, nikt tego nie słyszał, nikt nie rozumiał. A tymczasem usłużny Sebastyan już przybiegł z gwintówką. Wyrwał mu ją staruszek z ręki, wymierzył i palnął...

Wszystko to się stało w jednym momencie. Dym się rozniósł po komnacie, — wśród dymu widzenie zniknęło, — przestraszony Bernard wybiegł czemprędzej do sieni, aby obaczyć, czyli kto nie raniony. Nikt nie został ranionym — i to go uspokoiło. Lecz kiedy powrócił do sali, zastał wszystkich gości zgromadzonych około tego miejsca, gdzie siedział ojciec — a jego samego wyciągniętego w przerażającej postaci w krzesełku. Nie rozumiejąc, co to znaczy, przypadł spiesznie ku niemu z pomocą, — ale na próżno. Ojciec jego już nie żył. Zabiła go apoplexya.

Natenczas jeszcze umierali ludzie z oburzenia i sromu..... (*D. c. n.*)

DO MOICH PRZYJACIÓŁ.

Odpowiedź na wiersz J. C. Z.

Wielu was nie mam! choć pamięć zliczy
I spiące w mogiłach kości —
Wielu was nie mam! — Kiedyż nas wiele?
Rycerze ducha, o! przyjaciele,
Triumfatory a bez zdobyczy —
My zawsze będziem w mniejszości.

Śród szmeru dziejów jak mało głosów
Gromowych, ognistych, lotnych —
I nas niewiele — bośmy i lepsi!
I nas niewiele — bośmy i krzepsi!
Na korczowisku cały łan kłosów,
A dębów kilka — samotnych!

Sporni, słoneczni ho! z nas orłowie,
Urąga nam świat ślimaczy —
Od Nazaretu dawniej nas zwano,
Dzisiaj wy wiecie jakie nam miano,
A gdy tem mianem świat się nazowie
My się nazowiem inaczej!

My spiącym wiecznie bijem na trwogę
Bezsenni, z Tytanów rodu —
I wiecznie walczym w zbłąkaniu męztwa
Bo dla nas żywych nie ma zwycięstwa,
Ciałami tylko tyczymy drogę
Do Jerozolimy grodu.

I wiecznie dążym krwawym pochodem
Do Jerozolimy grodu!
Ruszać się nie chce ten świat leniwy
Bo on w spoczynku tylko szczęśliwy,
Więc sarka na nas. My idźmy przodem
Z narodem lub bez narodu.

Z płomiennem sercem, z gwiazdą na czole
I z wiarą która się ziści,
Przodem a w górę! choć serce pęka,
Choć nas niejedna wstrzymuje ręka
A tam pod nami niech głuchną w dole
Krzyki potwarzy, zawiści.

* *
*

Takiem ja słowem, na twój głos budzący
Mój odzew daję — bom czujny, niespiący,
Chociaż nie brzęczę brzeszczotem,
Choć niewidomie ciągle z wami idę —
Wyżej chmur ciemnych niosę moją dzidę
Z błyszczącym od słońca grotem.

K. U.

Podlipce, 1856.

LUD I NARÓD.

Przez

Józefa Supińskiego.

Ludzie w których ręku jest przemagająca część mienia narodowego, i ci których zadaniem stało się pielęgnować i upowszechniać nauki, są niezaprzeczenie w każdym narodzie czołem ludności krajowej, ale

sami nie są jeszcze narodem. Woźnica kieruje zaprzęgiem, ale sam nie pociągnie wozu: — lud może w danem towarzystwie być zaprzęgiem, a nawet zerem, lecz zera tylko, nauczają matematycy, podnoszą stojące na ich czele jednostki. Aby towarzystwo czy państwo stało się rzetelnie potężnem, trzeba lud przerobić w naród, zera w liczby. Ażeby społeczność chromą, powiada *Stuard-Mill*, przeistoczyć w silną, trzeba uczynić krok stanowczy do zatarcia dawnych stosunków, a razem zaprowadzić wykształcenie przymusowe. Kto przemieni wychowanie ludu, są słowa *Leibnica*, ten przemieni ród ludzki. Ważniejszem jest, twierdzi *Montesquieu*, dać ludowi wykształcenie, niż ustawy i sądy.

Kształcenie dzieci, utrzymują zwykle ekonomiści, powinno być pozostawione rodzicom, tak jak się im pozostawia ich pożywienie, i pielęgnowanie ich pierwszej młodości. Zdania tego podzielić nie możemy: człowiek zaczyna czuć potrzebę nauki i moralności wtenczas dopiero, gdy je pozna, a lud ciemny i niemoralny jest chorobą towarzystwa, z której ono wyleczyć się ma prawo i obowiązek; chorobą usypiającą pracę, rozprzęgającą siły społeczne. Wykształcona część towarzystwa, powtórzmy, ma obowiązek zajęcia się oświatą ludu, ma prawo znaglenia go do dobra, którego on nie zna jeszcze, tak jak ludzie dojrzali znaglają do niego dzieci, które jeszcze stanowiska swego nie pojmują.

Kształcenie ludu ogranicza się zwykle na nauce czytania, pisania i rachunków; — są to szczegóły główne i zasadnicze, ale one same nie urabiają jeszcze umysłu do życia społecznego. O prawdzie tej już dziś nikt nie wątpi, a upowszechniające się coraz szkoły wyższe ludowe, pisma i książki wydawane dla ludu, i rozprawy toczące się w tym przedmiocie, są tego najsilniejszym dowodem. Publicyści angielscy, których zdanie w tej mierze na szczególną zasługuje powagę, nie wahają się twierdzić, że lud uczyć należy od razu rzeczy wyższych, lubo w sposób przystępny, opowiadający, nie sięgając przyczyn odległych, ani szczegółów nieprzystępnych zmysłom. Wytłumaczenie pór roku, powstawania dnia i nocy, rosy, deszczu, źródeł, roślinności; złe skutki złej wiary, następstwa nierzetelności w obowiązkach, w robocie, w sprzedaży, więcej wpłyną na moralność ludu; więcej zajmą i urobią umysł wieśniaka, niż wzniosłe, lecz odległe, a zwykle sucho powtarzane prawdy teologiczne. — Anglicy zrozumieli głęboko tę prawdę, lubo są może najwięcej religijnym narodem: — w Anglii, powiada *Schultze*, któren kraj ten zbadał starannie ze stanowiska ekonomiczno-politycznego, w każdem miasteczku są peryodyczne posiedzenia naukowe, uprzyjemnione doświadczeniami fizycznemi, wystawieniem mikroskopu, i t. d., posiedzenia na które się dziś zjeżdżają chciwie chłopi okoliczni, a do których początkowo wabić ich trzeba było. Każdy z nich wróciwszy do domu, przywiezie coś nowego, bo na zgromadzeniach tych czytają rozprawy ludzie rzetelnie wykształceni, a pomiędzy którymi jest wielu duchownych, ułożone w sposób zajmujący i przystępny.

Prócz tego, panowie angielscy, posiadacze jak wiadomo ogromnych ziemiańskich majątków, czynią na małych folwarkach, które sobie zachowują, znaczne nakłady, i rozliczne próby. Te ich drobne gospodarstwa są szkołą dla ich dzierzawców, fermierów-chłopów, i dla całej okolicy, lepszą, powiada jeszcze *Schultze*, od naszych szkół rządowych. Głęboka nauka, znajomość praktyczna gospodarstwa, zajmowanie się najdrobniejszemi jego szczegółami, i zadziwiająca pracowitość, cechują lordów angielskich. „Bogdajby synowie naszych grafów i ritterów, naśladowali angielskich panów, nie w ich kabryoletach, żokejach, gonitwach i myśliwskich strojach, ale w ich wykształceniu, i pracy dla korzyści narodowej, bo przykład idący z góry, jest najlepszą szkołą.“

Jednym z głównych bodźców obudzających w ludzie chęć wydobycia się z poniżenia, jest pewne, określić się nie dające poważanie, pewna oględność, którą łatwiej jest uczuć i pojąć, niż wskazać. Poniżenie czyni coraz gorszym człowieka: zaczem, lud nie zacznie być godnym poważania, pokąd stopniowo poważanym być nie zacznie, tak jak nikt nie nauczy się jeździć konno, pokąd mu nie wolno usiąść na konia.

Lud, powiedzieliśmy za przykładem publicystów angielskich, których zdanie podzielają już pisarze francuzcy, należy odrazu uczyć rzeczy wyższych, bo tą tylko drogą obudzić w nim można wyższe uczucia i pojęcia. Karzemy za zbrodnie, nie uprzedzając ludu, co czeka tych, którzy się dopuszczą zbrodni; — karzemy za przekroczenia ustaw finansowych, nie wytłumaczywszy mu różnicy między złym czynem a dochodem państwa; — przesyłamy mu wymotywowane wyroki cywilne o pastwiska i wręby, nie wyjaśniwszy mu nigdy różnicy między własnością a prawem używania; — zdzieramy odzież żołnierzowi i księdzu gdy ich prowadzimy do więzienia, by ich postawić w równi z obywatelstwem, jak gdyby ta reszta narodu była stekiem pogardy godnym; mierzymy niemoralne czyny wartością pieniężną; karzemy odmiennie ludność zwykłą, żołnierzy na urlopie i duchownych, nie wyjaśniając ludowi przyczyn znaglających do tego odróżnienia; a chcemy by lud pojął porządek ziemski, i sprawiedliwość doczesną. Szczegóły te wyższe na pozór, łatwiejszemi są od gramatyki i tabliczki dzielenia: — one dla tego tylko wydają się wyższemi, że wyższe klasy niedość same zastanawiają się nad niemi. Z tego samego powodu ekonomia polityczna wydaje się u nas jeszcze więcej odrębną umiejętnością, a przecież w Anglii, Belgii i Francyi, wykład jej stopniowany, przywiązanym jest do szkół wyższych i niższych, do szkół specyalnych rolnictwa, handlu i rzemiosł: — są nawet okolice, gdzie nauczyciele objeżdżający wykładają ludowi w dnie świąteczne, główne ekonomiczne pojęcia. Lud nie umiejący czytać

i pisać, lud mniej może przenikliwy od naszego, chwyta przecież zdrowo te wyższe prawdy.

„Gdy potrzebujemy podnieść opłaty, powiada jeden z ekonomistów francuzkich, gdy chcemy zwabić robotnika, skłonić gminę do jakiego dzieła, gdy głód już szerzy choroby, zaczynamy moralizować lub karać, ale to już zapóźno. Należy zapobiegać złemu, i wcześnie wytłumaczyć ludowi przeznaczenie człowieka na ziemi, zatem naturę społeczności; wyjaśnić mu co to jest własność, pieniądz, zarobek, praca, rachunek, stowarzyszenie: przymus i kary nie zastąpią własnego przeświadczenia“.

Chłopi żyją wszędzie, a u nas więcej może niż gdzieindziej, bez uciech i bez rozrywek, jakie z łatwością znajdują miast mieszkańcy; ich praca jest nieustającym trudem, ich życiu towarzyszy cisza, jednostajność: — ich jedynem miejscem zebrania, jedynem ogniskiem społecznem jest gospoda, karczma; — możnaż się dziwić, że pić, jest ich jedyną przyjemnością i pociechą? Człowiek żyć nie może bez chwil uciechy i rozrywki; — potępiając złe nałogi, nie zawsze wchodzimy w ich przyczyny, a mniej jeszcze myślimy o usunięciu tych przyczyn. By przytłumić pociąg do rozrywek szkodliwych, trzeba nasunąć użyteczne i obudzić pociąg do użytecznych. Na tej drodze lud angielski słynny w części dotąd z pijaństwa, podniósł się i podnosi z dniem każdym.

Nie tu miejsce podawać projekta, i wskazywać kto tem wychowaniem ludu zająć się powinien. Wszędzie gdzie są dobre chęci, nasuną się środki mniej lub więcej skuteczne. Powołaliśmy się wyżej na Anglię, powróćmy do niej. Niemal wszyscy duchowni angielscy należą do stowarzyszeń mających na celu poprawę ludu. Odwiedzają oni ohydne zakąty gdzie mieszka nędza i zepsucie; niosą opuszczonym lub opuszczającym się pomoc, radę, pociechę; czuwają nad ich każdym krokiem, śledzą ich życie, a każdy z nich zna osobiście wszystkich okręgu swojego mieszkańców. Jakże zbawienne są tam skutki tego religijno-ziemskiego wpływu! Znakomity ekonomista *Rossi*, przytacza także okolicę w północnej Francyi, gdzie oddawna lud oddawał się próżniactwu, pijaństwu i kradzieży. Proboszcz miejscowy, po upływie lat kilku, uczynił go moralnym, bo w nim obudził ciekawość rzeczy wyższych; wytłumaczył mu główne zjawiska przyrody, nauczył rolnictwa ulepszonego, łąk sztucznych i t. p. Dziś okolica ta należy do zamożniejszych, a imię zmarłego dawno proboszcza, żyje w pamięci nowego już pokolenia. Przykłady podobne moglibyśmy znaleźć na ziemi naszej: — niechcąc ubliżyć tym, o których możemy nie wiedzieć, zebranie ich zostawiamy innej sposobności.

Od trzynastego stulecia, powiada *Łukasiewicz*, biskupi polscy zaprowadzali szkółki po parafiach. Od Zygmunta Starego istniały one prawie przy każdym kościele. Szkółki te nie wiele wpłynęły na losy kraju, właśnie dla tego, że w nich uczono podług pojęć ówczesnych, języka łacińskiego i służenia do mszy, a nie rzeczy, na których polega życie codzienne i rzetelna oświata.

Jak dobre chęci i przywiązanie do kraju stanów wyższych, w krótkim czasie podnieść mogą lud w rzeczach umiejętnych, tak w szczegółach czysto społecznych, najdoskonalszą szkołą ludu jest gmina. Gmina jest zawiązkiem narodowego stowarzyszenia, a razem najrozleglejszem k o ł e m r o d z i n n e m, ona spaja rodzinę z państwem, obywatela z ojczyzną, ona sama jest ojczyzną na mały rozmiar, w której odbywają się te same organiczne ruchy: administracya, sądownictwo, finanse, oświata. Kto się wdroży, zrozumie i pokocha na małym rozmiarze te gałęzie rządu społecznego, ten nie wyszedłszy poza kopiec graniczny, zrozumie i pokocha rozleglejsze sprawy krajowe. Gmina, a szczególnie gmina wiejska, łącząca lud z dawnym panem, i kierowana jego wyższem wykształceniem, jest węzłem społecznym, wątkiem życia narodowego i szkołą spraw publicznych. Gdy w mieście ludzie mijają się obojętnie, a często nie wiedzą o sobie w tym samym domu, w gminie wiejskiej wszyscy są sąsiadami i krewnemi, są niezaprzeczenie k o ł e m r o d z i n n e m, w którem synowie dawnych panów, przejdą stopniowo w przewodzców i wójtów, połączonych z ludnością miejscową, potrzebą, rozumem, przywiązaniem do kraju, ziemią, kościołem i smentarzem.

Tą drogą znikła niewola, i znika poddaństwo; nędza i zepsucie u dołu, rubaszne uciechy u góry; tak ustępują wyłączności, przywileje, cechy i ucisk; tą drogą powstają szkoły i szkółki, tą drogą krzywda prywatna przechodzi w obrazę publiczną; tą drogą wreszcie lud staje się narodem, a bez którego nie ma narodu.

Przez długie wieki w całej Europie, student i żebrak, były jednoznaczącemi wyrazami, bo oświata ludu nie była tam jeszcze społecznem zadaniem, a panowie brzydzili się pracą. W wiekach tych *Molier* i *Boalo* mieszkają na poddaszu z kotami, których pamięć dzieła ich uwieczniły; *Ruso* przepisuje nóty, by mógł wyżyć, *a del Sarte* maluje nieśmiertelny obraz Swiętej rodziny, za kilka garncy mąki! Dziś rzeczy zmieniły się nagle; dziś świat nową przybrał postać, gdziekolwiek lud stał się już narodem; zatem gdziekolwiek oświata roztoczyła się ku dołowi, a stany wyższe zajęły wzniosłe stanowisko, jakiego nie pojmowano ani w klasycznej starożytności, ani w bucznem życiu średnich wieków.

Pamiętniki Stanisława Kosmowskiego z końca XVIII. wieku.

Poznań 1860.

Mamy przed sobą książkę zawierającą w niewielu arkuszach druku szczegóły historyczne bardzo mało znane, mianowicie co do pobytu wychodźców polskich na Wołoszczyźnie i co do przyjęcia ich w Petersburgu przez Pawła I.

Pamiętniki te ukazały się po raz pierwszy w r. 1807 bez miejsca druku pod tytułem: *Rys historyi panowania Stanisława Augusta.* Pierwotne to wydanie, prawdopodobnie zniszczono zaraz po wydrukowaniu za staraniem osób, które się czuły dotkniętemi w tem dziełku. Nie wiele egzemplarzy musiało się rozejść, gdyż to pierwsze wydanie tak jest rzadkie, że bibliografowie o istnieniu jednego tylko egzemplarza wiedzą.

Autor sam z prostego żołnierza dosłużył się rangi podpułkownika w przybocznej gwardyi konnej Stanisława Augusta, tak zwanej Mierowskiej. Polityczne wykształcenie swoje zawdzięcza on, jak mówi, obcowaniu z ministrami zagranicznych dworów, czytaniu książek, a nareszcie dyskusyom sejmu konstytucyjnego, które w istocie mogły mu dać dokładne wyobrażenie o stanie kraju i jego rządzie.

Kosmowski korzystał z tych nauk, pojął dobrze, co się działo około niego i dosyć jasno skreślił. W pamiętnikach jego przebija się serce prawe i miłość kraju. Mimo przywiązania do króla któremu wszystko zawdzięczał, mimo otoczenia dworskiego stał zawsze niezachwiany przy narodzie, niosąc mu chętnie w ofierze życie a nawet wdzięczność poczciwego serca. Nie masz w jego słowach ani potwarzy rzuconej na inne osoby, ani przechwałek własnych; wszędzie spotkasz się z gorącem sercem które rade podziwia i wielbi poświęcenie, gdziekolwiek ono się okaże, tłumaczy słabości króla, gdzie może, a gdzie nie może, ubolewa nad niemi. Był mężny i odważny. Podczas powstania Warszawy zabito pod nim dwa konie, był jednym z oficerów, których Kościuszko obrączką złotą z napisem: „Ojczyzna obrońcy swemu“ udarował, miał zresztą udział w bitwie Maciejowickiej. Gdy po ostatnim podziale część emigracyi pod protekcyą rządu francuzkiego zawiązała na Wołoszczyźnie konfederacyą, Kosmowski z Poznańskiego przedarł się do Bukaresztu, przystąpił do niej i musiał być zdolnym i gorliwym kiedy mu marszałek tejże konfederacyi, Ksawery Dąbrowski powierzył misyę dyplomatyczną do Konstantynopola z której Kosmowski zręcznie się wywiązał. Po zawarciu pokoju w Campo-Formio między Francyą i Austryą, w którym ani wzmianki nie było o Polsce i po śmierci Katarzyny, gdy się od cesarza Pawła spodziewano sprawiedliwości, i nowa od północy zabłysła nadzieja, Ksawery Dąbrowski ze znaczniejszymi oficerami swoimi, między którymi był także Kosmowski, udał się za radą konsula francuzkiego Carra St. Cyr za pośrednictwem króla Stanisława do łaski imperatora, ażeby mógł ze swoimi oficerami być pomieszczony w służbie rosyjskiej, co też nastąpiło. Pobyt wychodźców w Petersburgu, posłuchania u króla Stanisława i u imperatora, są najciekawszą częścią tej książki. Krok ten ostatni konfederatów był spowodowany zawodem Francyi i rozpaczą.

Kosmowski jest gorliwym zwolennikiem króla Stanisława i jego zamysłów. Co do ostatnich, chętnie się piszemy na zdanie jego. Dodalibyśmy jednak, że szlachetne zamiary króla nie wytrwały w ogniu walki, że zapał jego stygł w miarę wzrastającego niebezpieczeństwa, że pomysły jego malały w obec groźnej przyszłości, a sumienie, biorąc miarę od skutków możebnych nie od wyższych zasad moralnych, lękało się czynów stanowczych, jedynie wówczas zbawiennych.

„Byłto, jak mówi Lelewel, pan ludzki i wspaniały, pełen wiadomości i nauki, mowca i polityk“; ale gdy przyszło rozstrzygnąć ostatecznie losy kraju na polu bitwy, wtedy zwątpił o sobie i o siłach wielkiego poświęceniem narodu. — Oddajmy jednak sprawiedliwość szlachetnym zamiarom Stanisława Augusta i zbawiennym rządom jego w czasie między pierwszym podziałem i konfederacyą targowicką. Wszakto w przeciągu tych kilkunastu lat mimo nieszczęść i upadku politycznego, mimo uszczuplenia granic i sił materyalnych, mimo ducha partyi i prywaty, czynnie występujących, Polska zakwitła naukami i oświatą, zajaśniała miłością ojczyzny i poświęceniem dla dobra ogólnego, a gdy nakoniec upadła, to upadła nie z braku sił żywotnych, nie z niemocy wewnętrznej jaka ją opanowała za królów saskich; upadek ją zaskoczył na polu bitwy, śród dzieła odrodzenia się, w zaraniu wielkiej przyszłości.

Trudne było położenie króla. Nie było warstwy w narodzie, nie było partyi, którąby potrzebowała wątłej podpory powagi królewskiej, lub zaufała narzuconemu królowi. Stanisław widząc się osamotnionym na tronie szukał zwolenników; otoczył się więc ludźmi nowymi, którzy jemu wszystko zawdzięczali: Komarzewskimi, Byszewskimi i t. d. Wybór ludzi nie zawsze był zaszczytny dla króla. Usiłując utworzyć sobie partyą także w kraju, wywyższał szlachtę mniej majętną, „której serce, jak mówi Kosmowski, dalekie od intrygi nie było zepsute nadzieją korony. Tych ozdabiał orderami a przez nich rektyfikował umysły innych obywateli, oświecając ich o potrzebie zmian w konstytucyi, o potrzebie większych podatków dla utrzymania wojska liczniejszego. Tak, mówi autor, król przywiązał do siebie nieznacznie większą część familii szlacheckich, dotąd jemu niechętnych.“

Między innemi środkami, jakich król użył aby uzyskać serce narodu, rozkrzewić światło polityczne i dodać sił Rzeczypospolitej, Kosmowski przytacza następujące: Kazał Stanisław przyjmować synów szlachty do korpusu kadetów bezpłatnie; innych brał do szkoły artyleryi; gazety polskie, w których „wszystko to drukowano, co w gazetach hamburskich i paryzkich pisano, własnym kosztem do wielu bardzo osób na prowincyi kazał przesyłać bezpłatnie.“ Protegował pisarzy polskich, teatr polski ustanowił, wojsko przeistoczył i według potrzeb czasu na sposób innych wojsk europejskich uorganizował, oficerów polaków w obcej służbie będących zawezwał do służby ojczystej: z amerykańskiej Kościuszkę, z pruskiej Brodowskiego i Grochowskiego, z francuzkiej księcia Lubomirskiego, z saskiej Henryka Dąbrowskiego, z austryackiej księcia Józefa Poniatowskiego. Ci powoli wprowadzili taktykę i karność wojskową, a gwardya i artylerya miały i oficerów zdolnych i żołnierzy dobrze wyćwiczonych.

Nie mogąc naruszyć nieograniczonej władzy hetmanów, Stanisław skłonił hetmana Jana Klemensa Branickiego, gdy ten był bliskim zgonu, aby jenerała Ksawerego Braneckiego, który królowi wszystko zawdzięczał, uczynił następcą imienia Branickich. Później, jak wiadomo, mianował król tegoż Ksawerego Braneckiego w. hetmanem koronnym i przedsięwziął kroki do zmniejszenia nadzwyczajnej władzy

hetmańskiej, czego jednak dopiero w późniejszym czasie dokonać potrafił.

Kosmowski, będąc jeszcze kapitanem gwardyi przybocznej, należał do orszaku królewskiego podczas podróży do Kaniowa. Nie będąc przypuszczony do tajemnic gabinetowych, nic nam powiedzieć nie może o konferencyach króla z cesarzową Katarzyną. Zapisuje tylko, że podówczas „wesołość na twarzy króla była nadzwyczajna“ i że po konferencyach nastąpiły bale i zabawy kilkudniowe. Ustąpienie wojsk rosyjskich z kraju uważa za skutek i tryumf polityki króla i mocno ubolewa nad tem, że czuwająca polityka dworów i opozycya magnatów przeszkodziły królowi połączyć swe wojska z Rosyą przeciw Turkom, a „przez to“ uwolnić własny naród od gwarancyi rossyjskiej.

Pytanie, czyli środek ten byłby doprowadził do zamierzonego celu byłoby pytaniem luźnem; plany króla bowiem nie ziściły się. Przypominamy jednak, że Katarzyna proponując Polsce przymierze ofiarowała się, że na własny koszt zaciągnie 30000 szlachty konnej, zapewne w myśli, aby mieć w wojsku tem zakładnika uległości, a osłabiwszy siły wojenne Polski, zapobiedz niebezpiecznej dywersyi w tyle wojska rosyjskiego powstać mogącej. —

Nadchodził sejm czteroletni. Głos ogólny narodu był wtedy przychylny Stanisławowi. Kosmowski tłumaczy tę okoliczność w sposób następujący: „Przez wyrobienie u imperatorowej rozkazu, aby wojsko rosyjskie opuściło Polskę na zawsze, równie przez oświadczenie tejże monarchini, że przyrzeka zrzec się gwarancyi nad Polską, zjednał król zaufanie prawie całego narodu. Przebaczono mu te krwi rozlania, których stał się przyczyną, przyjmując koronę z woli Katarzyny II a nie z woli narodu“. Autor dodaje: „Tu można powiedzieć, że żaden naród tyle nie może uczuć wdzięczności za dobro mu wyrządzone, jak naród polski, w którego charakterze jest i to do uważania, że umiejąc przebaczać nie zachowuje w swem sercu zaciętej zemsty.“

Aby uzyskać pomnożenie wojska i potrzebne na to powiększenie podatków, trzeba było, jak Kosmowski uważa, rozumu Stanisława. Król już miał wiele przychylnych po województwach szlachty średnio-majętnych, którym porozdawał „urzędy podkomorzych, chorążych, sędziów i t. d. innym podawał ordery, innych mianował szambelanami, drugich swymi jenerał-adjutantami, z niektórych zaś familii szlacheckich wyniósł tych na senatorów, owych na kanoników katedralnych, na biskupów, opatów, sufraganów.“ Nawet do rady nieustającej wprowadził niektórych członków szlachty sobie przychylnej.

Bądź co bądź, wpływy, jakie Stanisław August wywarł na wybór posłów do sejmu były zbawienne i kraj mógł rokować, że sejm ten doprowadzi do skutku odrodzenie się ojczyzny.

Pomijamy szczegóły tyczące się sejmu podane przez Kosmowskiego a dokładniej zkądinąd znane; przypominamy tylko, że król był zwolennikiem ścisłego połączenia się z Rosyą. Gdy jednak przez zabiegi posła pruskiego projekt ten upadł i układy z Fryderykiem Wilhelmem nastąpiły, „król, mówi Kosmowski, uważając, że Rosya w razie, gdyby większość sejmujących uchwaliła traktat zaczepny i odporny z Prusami, wywarłaby całą zemstę na Polskę, ułożył tajemny plan obrony przeciw Rosyi.“

Chciał on „w każdem województwie zawczasu mianować komendantów dla obywateli pod nazwiskiem przewodników, którzyby w ścisłym sekrecie mieli zapisaną szlachtę i mieszczan zdolnych do obrony kraju, oraz wszystkich włościan nie starszych nad lat 30 do piechoty i na ten cel zakupić kazał król przez Gdańsk 30,000 karabinów. Każdy zaś szlachcic do lat 40, mający 10 chłopów we wsi, obowiązany miał być sam osobiście wyjechać z jednym służącym, uzbrojonym w pikę, pałasz i pistolety. Ci zaś co więcej chłopów mieli, winni byli wyjechać biorąc z sobą z każdych 10 chłopów jednego konnego. Miejsce zjazdu miało być oznaczone w powiatach pod komendą rotmistrzów, których przewodnikowie województw mianować mieli; całą zaś siłę narodową poddał pod komendę przybyłego z Ameryki jenerała Kościuszki.“ — Takim sposobem król, zamiast otwarcie wykryć niebezpieczeństwo, odezwać się do narodu i uorganizować siły jego wojenne, był przymuszony uciec się do intrygi i organizować spiskowe niby powstanie. Zamiar króla powierzono Ogińskiemu, podskarbiemu litewskiemu, a ten, rozkochany w pięknej pani Szwejkowskiej, amantce posła rosyjskiego Bułhakowa, powierzył jej cały plan; a tak intryga wykryła się i spisek upadł.

Gdy nareszcie konstytucya stanęła, Szczęsny Potocki, Branicki i Rzewuski, „nieukontentowani, że im odejmowała nadzieję być pretendentami do korony,“ wyjechali z kraju gotując konfederacyę Targowicką. „Położenie króla, mówi Kosmowski, było wówczas najokropniejsze; widział on wszystkie swe plany blizkie zniszczenia, starał się przywołać napowrót z zagranicy tych panów, lecz usiłowania jego były nadaremne.

Wojsko jeszcze nie było skompletowane; zamiast 100 tysięcy było tylko 50 tysięcy, a to nowo zaciężnego żołnierza. Brakowało broni, brakowało nareszcie pieniędzy, kiedy z bankructwem bankierów warszawskich, wywołanem, jak twierdzi Kosmowski, przez intrygę rosyjską, kapitały szlachty patryotycznej u tych bankierów lokowane przepadły.

W skutek tych nieszczęsnych okoliczności nie było z razu gotowości do wojny, a przeto upadła wiara w pomyślny skutek tej wojny, wiara w siły własne i w sprawę, nie w narodzie, ale w królu i w otaczających go ministrach. A kiedy nareszcie Prusy, mimo tylu oświadczeń, mimo tylu przyrzeczeń, mimo zawartego przymierza odstąpiły od aliansu z Polską i pod obłudnym pretekstem szerzącego się w Wielkopolsce jakubinizmu zajęły tę część kraju; wtedy Stanisław i ministrowie jego, uważając sprawę za przegraną z góry, bronili jej wprawdzie dla honoru, lub że nie mogli inaczej, ale już miękko i trwożliwie, oglądając się na przyszłość własną, roszcząc sobie nadzieję, że dogadzając woli imperatorowej zmiękczą jej serce, spodziewając się czegoś od wspaniałomyślności zwycięzcy, niczego od własnych sił.

Położenie w istocie było smutne. Konfederacya targowicka wywołała nieufność i niedowierzanie. Zasady jej niejeden odgłos znalazły w kraju; wszak błogie dary 3go maja nie przeszły jeszcze w życie ni w krew społeczeństwa. Konstytucya była wówczas nie czczą tylko formą Rządu, była ona hasłem zjednoczenia całego narodu, kotwicą zba-

wienia, rękojmią całości i niepodległości. Czyż nie dla tego stała zawadą tam, gdzie na tę całość uderzyć, gdzie Polskę zawisłą uczynić zamierzono? Dodać narodowi wiarę w jej potęgę było więc zadaniem owej chwili, a na to jeden był sposób: żądać ofiar w jej imieniu, ostatecznych wysileń dla niej, a potęgę która nie istnieje w formach, naród byłby znalazł w sobie.

Tych ofiar, tych wysileń żądano wprawdzie; ale, mówi Kosmowski, „Król nie wiedział co ma czynić, bo poróżnił się z Rosyą, a Prusy nie dotrzymały traktatu. Wysłał *jednakże* wojsko przeciw Rosyi i t. d.“ Niemasz sprawy, któraby się utrzymać mogła, jeżeli ci, co ją popierać winni, co nią kierują nie więdzą co mają czynić, i popierają ją tylko ponieważ nie można inaczej, ponieważ honor tak każe, ponieważ stoi się na jej czele! A tak, mimo „powszechnej energii i chęci walczenia“, mimo „dzielnego odporu, danego nieprzyjacielowi pod Zieleńcami i Dubienką“ król za naleganiem jeneralowej Grabowskiej i za radą Chreptowicza podkanclerzego, Tyszkiewicza hetmana i Michała Ogińskiego podskarbiego „nie wyjechał do obozu, na czele wojska nie stanął, i wojska tego wraz z powstaniem które przy nim było w pomoc walczącemu na Wołyniu wojsku nie posłał. Odtąd Stanisław został bezczynny i codziennie przez swych mniemanych przyjaciół trwożony, a od konfederacyi targowickiej szkalowany, zaczął utracać w narodzie ufność, tym mocniej, im więcej wieści rozpuszczali intryganci o jego, jakoby z Rosyą porozumieniu się.“

Nareszcie nieszczęsny Hamlet polski musiał skończyć na tem, że „gdy zewsząd od swych własnych ministrów i osób otaczających go był nękany o oddanie się na dyskrecyą Katarzyny, tak dalece zapomniał się, że pomimo perswazyi najlepszych patryotów, którzy razem zebrani przyszli perswadować królowi, aby wyjechał do wojska i nie poddawał się Rosyi, on odrzucił ich rady“.

„A tak król rozkazał się cofać wojsku polskiemu, chociaż to żadnej batalii nie przegrało, czego, gdyby nie był uczynił, byłby i siebie z honorem i ojczyznę ocalił; bo było nam później wiadomo i to jest niezaprzeczona prawda, że Katarzyna II dała sekretną instrukcyę posłowi swemu Bułhakowowi, ażeby wszystkiemi sposobami starał się odwrócić króla, ażeby sam osobiście na czele wojska i narodu nie stanął; w przeciwnym zaś razie, gdyby spostrzegł formalną determinacyą tego monarchy, skoro on tylko do obozu swojego pojechałby, ażeby natychmiast ofiarować mu pokój i alians“.

Byłoby nader bolesnem gdyby to cośmy właśnie z Kosmowskiego wypisali było prawdą, jak mówi, niezaprzeczoną.

Król za naleganiem posła rosyjskiego przystąpił do konfederacyi targowickiej. *(Dok. n.)*

WIZERUNKI ZNAKOMITYCH ZIOMKÓW,

w Tygodniku illustrowanym Warszawskim.

Od czasu gdy przestał wychodzić Przyjaciel Ludu czuliśmy dotkliwie brak pisma, któreby nam przypominało drogie narodowi imiona i rysy, lub obznajamiało z temi, którym nieprzyjaźne okoliczności odmówiły rozgłosu zasłużonego całem ich życiem. Godniej niżeśmy się poważyli wymagać zastąpiło brak ten pismo, doskonalsze pod względem artystycznym a wyrównywające mu jeżeli nie wyższe literacką wartością od skromnego Przyjaciela Ludu, które od Października zeszłego roku wychodzi pod tyt. Tygodnik illustrowany.

Współpracownictwo znakomitych pisarzy: J. Bartoszewicza, J. Korzeniowskiego, J. I. Kraszewskiego, E. Odyńca, W. Syrokomli, W. Szymanowskiego i innych, oraz pomoc najzdolniejszych artystów naszych, zyskały od razu pismu temu wziętość zasłużoną.

Miło nam spotykać się tam ze wszystkiem co uświetnia naszą ojczyznę, czyto pod względem historycznego znaczenia, czyto piękności położenia i drogich zabytków starożytności, czyto wreszcie pod względem wielkich przysług świadczonych narodowi czynem lub słowem. Przedewszystkiem jednak mile nas uderza niemały zastęp znakomitości mających właśnie z naszą podkarpacką krainą wiele styczności, gdyż albo tu się rodzili i wychowywali, albo tu część żywota spędzili, albo w naszej ziemi spoczęli.

Dalecyśmy od drobnostkowej zazdrości tak powszedniej u narodu, który dzieląc się na trzydzieści sześć krajów pyta się: Gdzie nasza ojczyzna? Owszem — nam jedno zkąd ozdoba narodu bierze swój początek, z tej lub z tamtej strony Wisły, z tej lub z tamtej strony Zbrucza.

Duch narodu nie czyni różnicy między wybrańcami swoimi.

Nasza Ruś, Mazowsze, Pokucie wysłały niejednego męża po wieńce chwały i wdzięczności narodu do Królestwa, Litwy, Ukrainy, Wołynia, Podola, i ztamtąd niejeden znalazł u nas pole zasłużenia się ogółowi. Dzielą nas polityczne granice, ale jedność umysłowa nie zerwana między nami — świadectwem tego są żywoty sławnych mężów naszych.

Z licznego szeregu wizerunków w Tygodniku ilustrowanym wyjmujemy właśnie te, które nam wyobrażają mężów stanowiących ogniwa duchowe między naszą podkarpacką i nadniestrzańską krainą a resztą ziem polskich.

Zaraz na wstępie do tej galeryi cieniów znakomitych ludzi spotykamy się z nieznanemi nam rysami Konstantego Swidzińskiego. Nie żył pośród nas, dla królestwa stał się tem czem Ossoliński dla naszej krainy, ale odczytując rys jego żywota miło nam dowiedzieć się że wychowanie odebrał w naszej krainie, spędzając dziecięce lata u stryja swego, Jana Świdzińskiego w oklicach Starej Wsi.

Kiedy dalej wodząc okiem po tych cieniach chwyconych z życia szukamy jakiego znanego uśmiechu, który nas często witał, lub smętnego spojrzenia co nas żegnało w chwilach rozstania, trudno się oderwać od obrazu rzewnej prostoty w sielskim chłopaku, który wieńczy z pokorą grób śpiewaka. To nasz znajomy a przecież nie umiemy powiedzieć: kto on? — Rzeźbiarz (Swięcki w Warszawie) nie pragnął w tym pomniku nagrobkowym, którego wizerunek mamy przed sobą, uwiecznić rysów pewnej osoby, n. p.

mecenasa droższego artyście łaską niż narodowi zasługą, ale uosobić wdzięczność ludu dla śpiewaka, który prostą nieumiejętną piosenkę podniósł do wyżyn wykończonej sztuki. Jestto nagrobek Ignacego Komorowskiego kompozytora. Patrząc na ten obrazek pytaliśmy się, czy godzi się naszym artystom kopiować wzory zastygłej Grecyi, gdy nasze sioła nastręczają ich mnóstwo, pełnych życia i gorącego uczucia? Niech starożytność będzie szkołą a nasz świat modelem dla artystów.

Idźmy dalej. Otóż i znajomy. Żar kaznodziejskiego zapału tli w oku osłoniony smutku pomrokiem — jestto ksiądz Karol Antoniewicz.

Rodził się na Rusi, tu szczęścia doznawał, tu go Opatrzność dotknęła zniszczeniem rodzinnej doli, bo go namaściła na służebnika tej wielkiej rodziny, którą tylko dom boży ogarnie.

Znowu rysy znajome. Możemy każdej chwili porównać wizerunek trafny z mężem którego przedstawia — tylko on sam porównania zrobić nie może. Miło nam czytać przy tym portrecie wspomnienie dziejopisarskiego żywota, na którymy patrzyli i patrzymy, żywota autora Jadwigi i Jagiełły, skreślonego dziejopisarskiem piórem J. Bartoszewicza. Nie możemy pominąć uwagi, że w tym życiorysie zaszły ważne omyłki, co do osób, które wpłynęły na pierwszy rozwój talentu Karola Szajnochy.

Tuż potem napotykamy rysy nie tak trafione, ale szczegóły o życiu nie mniej nam miłe znajomego a nieżyjącego już Dominika Magnuszewskiego. Autor Niewiasty w trzech wiekach stawiał wspólnie z Zygmuntem Krasińskim i K. Gaszyńskim pierwsze kroki na ciernistej drodze literackiego zawodu; napisali oni razem powieść pod tyt. Władysław Herman i dwór jego. — Magnuszewski nie rodził się w naszych stronach, ale tu życie strawił i na Pokuckiej ziemi złożył skronie zgorzałe „przechodem lawy wewnętrznej“ (jak się o nim wyraził Józef Dzierzkowski).

W obec takich ozdób naszej krainy wyda się może drobnostkową skrzętność z jaką wyszukujemy styczności z nią w życiu np. Jana Feliksa Piwarskiego znakomitego rytownika naszego dla tego że tu nauki pobierał, chociaż urodzeniem należał do królestwa, a życiem swem całem wyłącznie do Warszawy. Tygodnik illustrowany stracił w nim najgłówniejszą podporę swoją.

Spodziewamy się że Kraków nie wzbroni nam Józefa Kremera zaliczyć do tych, których imiona łączą naszą krainę z całością.

O znakomitym rzeźbiarzu Leonie Szubercie, który się rodził i umarł w Oświęcimie, a wsławił w Rzymie i Wiedniu, małośmy wiedzieli, wyznajemy to ze wstydem. Tygodnik illustrowany poucza nas żeśmy w nim stracili artystę niepospolitego, który w kwiecie wieku życie za sztukę położył. Umarł on w skutek zbytecznego wysilenia przy poprawianiu żelaznego narządu do modelowania jednej z najpiękniejszych kompozycyi swoich wyobrażającej „Ukrzyżowanie Chrystusa“ podług opisu dziewczyny natchnionej magnetycznem jasnowidzeniem.

Patrząc dalej na cień twarzy myślącej, z wyrazem powagi i nieco rubasznej dobroci zdaje nam się że czoło podobne widywaliśmy ozdobione infułą arcypasterza. Podpis Tomasz Baraniecki, świadczy o spólności nietylko rysów ale i rodu ze zmarłym niedawno Arcybiskupem X. Łukaszem. Jakże boleśnie dowiedzieć się z życiorysu, że z pośród nas uniósł w młodości z sobą wieniec cierniowy, by go zamienić gdzie indziej na wieniec nagrody za obywatelskie i literackie zasługi. Rodził się na Pokuciu, kończył szkoły w Stanisławowie i Lwowie, tu rozwinął swoje niezwykłe zdolności, zaczynając od poezyi, trybem wyższych organizacyi umysłowych. Zasilał on ubożuchną na ówczas naszą literaturę peryodyczną młodzieńczemi próbami swojego pióra i był jednym z naczelników nader żywego wtedy ruchu umysłowego między akademicką młodzieżą, który wkrótce stłumiono. Mniej jeszcze niż kiedykolwiek sprzyjały wtedy (w r. 1820) stosunki kraju zamiłowaniu w literaturze w ogóle, a narodowej w szczególności. Kto niezdołał umknąć przed nieprzyjaźnemi okolicznościami, ten musiał im uledz. Tomasz Baraniecki należał do tych mniej nieszczęśliwych co nie upadłszy na duchu opuścili kraj. Podole, Wołyń i Ukraina otworzyły mu pole wziętości i sławy w zawodzie lekarskim. Literaturze nie został on obcym, a najlepiej go znali ubodzy i cierpiący. Ale nie wiedzieliśmy o nim, bo nie szukając rozgłosu zapisał się skromnemi czynami w pamięci ludu.

Kornela Ujejskiego portret nie zupełnie trafiony, przypomina go jednak. Z prac jego zdano tu sprawę z dokładnością bibliograficzną. Przytoczone znajdujemy piękne miejsca z jego poezyi, szkoda tylko że powody niezależne od sprawozdawcy przeszkodziły przytoczeniu najcelniejszych.

Dalej rysy nieznane chociaż imię głośne nietylko na polskiej ziemi, ale w całej nieledwie Europie naszego filozofa Józefa Gołuchowskiego. I tego rodzi nasz podkarpacki kąt (Łączki w Tarnowskim obwodzie). Naczelni filozofowie niemieccy byli jego nauczycielami, Wilno polem sławy, ale ten blask nie olśnił obywatela i Polaka. Z katedry zeszedł na rolę, a osiadłszy na wsi, wiódł życie mędrca, nie próżnego uczonego tylko: bo i nauką i praktycznym przykładem i ofiarami pieniężnemi wpłynął na wykształcenie wielu z młodzieży polskiej. W swojem ustroniu pod Częstochową zeszedł, pragnąc bardziej zasług niż sławy.

Z innego bardzo udatnego obrazka spogląda na nas oko przyjaciela dziatwy polskiej, nęcące łagodnością i rozsądkiem. Cała Polska znała go, a wszystko prawie co władnie piórem w Polsce, składało się na pomnik dla niego. Tylko własna kolebka zapomniała rychło o Stanisławie Jachowiczu. Rodził się w Dzikowie (w Rzeszowskim obwodzie), szkoły odbywał w Stanisławowie, uniwersytet we Lwowie. Dzielił zapały i zapasy Tomasza Baranieckiego, podzielił też z nim i losu koleje. Nieprzyjaźne stosunki krajowe uczyniły i jego tułaczem we własnej ziemi, lecz na szczęście w owym czasie nie zamykały się jeszcze wszystkie zakąty ziemi naszej przed zapaśnikami na polu pracy rodzimej. Wygnany ze Lwowa udał się do Warszawy i jej zawdzięcza szczyt sławy swojej.

W jednym z ostatnich numerów Tygodnika zwraca uwagę naszę jeszcze jeden nieznany nam równie z imienia jak żywota ziomek: Tomasz Ostrowski. Warszawa

zawdzięcza jemu rzadki w naszych czasach przykład świątobliwego braciszka, on zaś Warszawie sławę imienia zakonnego, które przybrał w klasztornem bractwie OO. Bernardynów.

Brat Piotr kwestarz, przeznaczony za młodu przez ubogich rodziców do młota i kowadła, poświęcił rękę zbyt słabą do kucia żelaza dobroczynnemu wspieraniu ubóstwa. Skłaniał on serca bogaczów, nie miększe często od żelaza, ku rozkowaniu twardych więzów nędzy. Znają go warszawskie poddasza i kryjówki wstydzącego się żebrać ubóstwa. Tylko myśmy nie wiedzieli, że urodzony w naszej krainie (w Raciborsku obwodz. Bocheńskim) był wybranym pośród nas na opiekuna tej samej warstwy społeczeństwa, której był dzieckiem.

Otóż przebiegliśmy szereg drogich imion i miłych nam rysów, których wspomnieniem i wizerunkami obdarzył nas Tygodnik illustrowany. Nie możemy tu pominąć uwagi, że nas razi obca nazwa tego pisma, które wolelibyśmy zwać obrazkowem (choć to nie brzmi okazale), jednakże i z tą obcą nazwą zasługuje ono na serdeczną wdzięczność za to, że nas obznajamia ze wszystkiem co pamięć narodu uświetnia. *K.*

PISMA CZASOWE POLSKIE.

Uważamy sobie za konieczny obowiązek obznajamiać czytelników naszych z treścią wszystkich, a przynajmniej najważniejszych pism czasowych polskich, o ile nam takowe są dostępne.

Nasze narodowe stosunki nie dozwalają z jednego lub dwóch pism powziąść wyobrażenia o życiu umysłowem całego narodu. Nie masz w tem życiu jednolitości, nie masz jej więc i w obrazie tego życia — w dziennikarstwie. Owszem, dziennikarstwo nasze odbija nam tylko ruch żywotny w pojedyńczych rozerwanych członkach całości.

W krajach gdzie naród jest skupiony około jednego ogniska, a prądy umysłowego rozwoju płyną właściwemi torami, które sobie same wolnym wyrobiły ruchem — tam dość jeden dziennik wziąść do ręki by mieć chociaż dorywczo skreślony obraz życia umysłowego w całym narodzie. Owe sławne olbrzymiemi rozmiarami dzienniki angielskie mieszczą w sobie tyle treści, ile na całą książkę stanie, a przeczytawszy jeden nie potrzebuję czytać innych dzienników, by się dowiedzieć o wszystkiem co w pewnej chwili cały naród obchodzi, i więcej nawet niż pragnę wiedzieć.

U nas inaczej. Kroplami sączy się, pośród nawału obojętnych nam jeżeli nie wrogich napływów, żywotny sok naszego organizmu narodowego. Z polityki dowiadujemy się nieraz o Ameryce i Chinach więcej niż o bratnich krainach naszych. Z ruchu literackiego przebijają się zaledwie pojedyńcze promyki przez gęstwinę przeszkód. Co najgłówniejsza jednak: nie mamy centralnych dzienników łączących w sobie pojawy życia całego narodu, lecz każdy ograniczać się musi właśnie w sprawach ojczystych prawie tylko na krainę, nie ledwie na miasto, gdzie wychodzi. Ponieważ tedy życie nasze narodowe tak jest rozstrzelone, więc trzebaby wszystkie nasze dzienniki czytać, by z tych porozrzucanych tu i owdzie kawałków mieć obraz całości. To niepodobna. Nikogo nie stać na to, by trzymać wszystkie dzienniki. Radzibyśmy więc ile możności pójść w pomoc dobrej woli czytelników pragnących wiedzieć o wszystkiem co jest polskie. Dla tego będziemy zdawać w naszem piśmie sprawę z najważniejszej i godnej wspomnienia treści pism czasowych polskich. Rozumie się że z zakresu pisma naszego jest wykluczona bieżąca polityka, więc z gazet dotykamy tylko część literacką.

Zaczynając od Warszawy, która wśród jakichkolwiek stosunków nie przestała być sercem naszej ziemi, zdajemy przedewszystkiem sprawę z najważniejszego pisma literackiego jakie tam wychodzi: z Biblioteki Warszawskiej. Nie takie to odstraszająco uczone i suche pismo za jakie je może niejeden poczytuje.

Oto marcowy zeszyt rozpoczyna się przekładem dramatu Szekspirowskiego: Ryszard II. dokonanym przez nestora dramaturgii naszej J. Korzeniowskiego. Piękność dykcyi i głębokość myśli Szekspira uwydatniona tu naj żywiej. Wielce żałujemy że nie przyszedł do skutku plan o którym nam donosi Korzeniowski w kilku słowach wstępnych, tłumaczenia wszystkich dzieł Szekspira wspólnie z księdzem Hołowińskim. Rozbił się ten plan przez spór obu znakomitych pisarzy o formę wiersza. Korzeniowski był za wierszem przyjętym w literaturze dramatycznej wszystkich narodów a używanym u nas przez J. Kochanowskiego, t. j. wierszem miarowym nierymowanym. Ksiądz Hołowiński nie przystał na to i obdarzył nas tłumaczeniem, w którem wszelkie ślady Szekspirowskiego ducha są zatarte. Stała się przezto szkoda literaturze, na której wynagrodzenie J. Korzeniowski bardzo piękną radę daje: „Gdyby się znalazł jaki przedsiębierczy księgarz, któryby się publikacyą tłumaczeń arcydzieł dramatycznych gorliwie zajął, gdyby się na nią złożyli między innymi tacy pisarze jak Odyniec, Felix Jezierski, A. Krajewski, K. Kaszewski, A. Małecki i korespondent Gazety Warszawskiej paryzki p. J. Zam. a do takiego grona chętniebym się i ja, mimo wieku i nadwątlonych sił, przyłączył, uformowałby się zbiór nietylko dla wydawcy korzystny, ale i dla ogółu czytelników ponętny i pożyteczny".

Postawiwszy tak świetną pracę na czele swego zeszytu marcowego Biblioteka Warszawska, czyż mogła godniejszą obok niej położyć jak: *Zygmunta Kaczkowskiego* „Kobietę" studyum historyczno-obyczajowe. Pierwszy raz występuje Z. K. z pracą tego rodzaju. Myśl główną tej rozprawy znajdujemy orzeczoną we własnych słowach autora: „kobieta jest główną podstawą, jest kamieniem węgielnym rodziny. Rodzina jest społeczeństwa podstawą i jaka jest więź rodziny, taka więź społeczeństwa: nie ulega więc żadnemu wątpieniu, iż nie zbadawszy dokładnie stanowiska przyznawanego koleją wieków kobiecie, niepodobna jest przyjść do gruntownego pojęcia tak ducha narodu, jak jego więzi społecznej." Kobietę „jaką była w przeszłości, jaką jest dziś, jakąby wedle sił swoich i potrzeb czasowych być powinna i mogła" rozumie się kobietę polską przedstawić uznał sobie Z. K. za obowiązek autorski. Zadanie takie wymagało licznych studyów i byłby K. może jeszcze długo

skąpił z udzieleniem owocu pięknych badań swoich, gdyby (jak sam wyznaje) książka Micheleta: L' Amour nie znagliła go do rychłego ogłoszenia swej pracy. Błędy, jakich siejbą zagraża społeczeństwu Micheleta dzieło pomimo a raczej właśnie dla piękności swojej, zniewoliły K. do objawienia swego zdania o tem dziele i do tego „ażeby fałszywym Micheleta o kobiecie pojęciom przeciwstawić pojęcia nasze, a postać jej wzniosłą, zdrową i piękną odmalować tak, jak nam ją stworzyły Chrystusowa nauka, narodowa tradycya i nasze własne uczucie".

Co do formy tej pracy będzie to pogadanka poufna niepoważna rozprawa, jaką napisać autor był zrazu postanowił, „bo przystępując do niej wcześniej niż sobie zamierzył, nie może jej oddać na użytek powszechny w takiej postaci, jaką dla niej w swej myśli zarysował pierwotnie."

Bardzo pięknie odpowiada Bibl. Warsz. zadaniu swemu stania się raz na zawsze niezbędną w każdej bibliotece domowej książką, a nawet zastępczynią kosztownych zbiorów dzieł obcych, przez stałe i gruntownie opracowane poglądy na literatury obce.

W zeszycie marcowym znajdujemy III oddział pracy p. W. M. „O literaturze włoskiej obecnej". Niekorzystne daje p. W. M. świadectwo tej córce Dantów, Petrarków, Bocaciów, Machiawelich, Tassów, Manzonich, lecz nie jest on niebaczny na piękności dzisiejszej literatury włoskiej na których jej nie zbywa. Kto chce powziąść wyobrażenie o dzisiejszych autorach włoskich, o wartości i treści ich dzieł, ten nie potrzebuje teraz już czerpać ze źródeł zagranicznych, bo mu wystarczy na to Bibl. Warsz.

Podobnie ma się rzecz z literaturą francuzką, pod której rubryką znajdujemy w tym zeszycie sprawozdanie z najnowszego dzieła V. Hugo: La legende des Siecles. Jest tu podana treść dzieła i tłumaczenie najznakomitszych ustępów.

Ciekawym jest dla nas w tym zeszycie artykuł pod tyt.: „Powieściopisarze w Galicyi". Z bibliograficzną drobiazgowością są tu wyliczone: nazwiska prawdziwe i zmyślone wszystkich pisarzy którzy w ostatnich dziesięciu latach występowali w Galicyi na polu powieściopisarstwa, ich prace wszelkie aż do najdrobniejszych, w czem się jednak nie obeszło bez pomyłek, nareszcie i recenzye o dziełach ich z wymienieniem recenzentów. Zdania krytyczne autora artykułu o każdym powieściopisarzu oparte są najwięcej na sądzie już przez innych wypowiedzianym.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna obznajamia nas z całym obrębem życia umysłowego we Francyi (oprócz polityki). W zeszycie marcowym znajdujemy zajmującą wiadomość o dziele *Wiktora Didron* „Les grands peintres avant Raphael," *hr. Falloux* „Madame Swetchine sa vie et ses oeuvres," *J. Turgan* „Les grandes usines de France", *o Macaulayu* i jego dziełach i t. d. — Rubryka to dobrze redagowana i zajmująca. Życzyć należy Bibliotece Warszawskiej podobnej kroniki z innych także ognisk życia umysłowego w Europie.

W kronice literackiej znajdujemy *J. Bartoszewicza* rozbiór Dziejów Mazowsza za panowania książąt p. Kozłowskiego. Sąd bardzo niekorzystny prawie potępiający to dzieło z powodu niekrytyczności i niedokładności historycznej. *Albina Kohna* artykuł zaleca Grasera metodę czytania poczynającą się od pisania. Stały krytyk Bibliotece Warsz. w literaturze nadobnej *K. Kaszewski* wydał bardzo surowy sąd o nowych poezyach A. E. Odyńca pomimo wielkiej czci jaką oddaje autorowi Felicyty i Barbary. W *Rozmaitościach* zamieściła Bibl. Warsz. wiadomość o Mennicy Łobzeńskiej Józefa Przyborowskiego. *Wiadomości z nauk* zawierają P. Zejsznera przekład Chemika, rozmów John Humphry Davego. Pod *Korespondencyą* jest wiadomość o komedyach konkursowych; sprawozdanie z czynności wydawnictwa dzieł Długosza p. Józefa Łepkowskiego. *Kronika bibliograficzna* zawiera bardzo dokładny spis dzieł i pism wychodzących w królestwie Polskiem. Nakoniec *Wiadomości literackie* z których najważniejsze udzieliliśmy już w naszej kronice literackiej. Dostrzeżenia meteorologiczne uzupełniają godnie zasób najrozmaitszych prac literackich i naukowych w jakie obfituje Bibl. Warsz.

Drugiem pismem podobnego rodzaju mniej obfitem w różnorodne przedmioty jest *Czas* dodatek miesięczny. Ma on tę wielką korzyść przed Biblioteką Warszawską, że obszerne pole politycznej dyskusyi stoi mu otworem. Obyż godnie z tego korzystał! Doszedł nas dopiero zeszyt za miesiąc Luty, w którym właśnie artykułu o bierzącej polityce brakuje zupełnie. Domyślamy się, że nie redakcyi w tem wina. Mieści ten zeszyt *K. Lacha Szyrmy* powtórzone za Sir Johnem Bowringiem poufnie i ustnie autorowi udzielone wiadomości o Chinach. Nie masz tam nic o czem byśmy już nie wiedzieli, a spostrzeżenia ekonomiczno-polityczne p. Bowringa tyczą się bardziej Anglii niż Chin. Józefa hr. Załuskiego szóste wspomnienie o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona I niemniej jest zajmujące jak poprzednie. Gdyby wszyscy oficerowie legionów chcieli i umieli podobne wspomnienia spisywać, mielibyśmy wielce szacowny materyał do historyi legionów, która jest zawsze częścią historyi narodu. Tak mamy tylko ułamki lub wykrzywione i przekręcone opowiadania historyków francuzkich.

Obfituje ten zeszyt Czasu w poezyę. Z papierów pozostałych po *Stanisławie Chrzanowskim* udzielił brat jego poemat pod tytułem „Pan Sawa". Przedmiot sympatyczny; wiersz we wielu miejscach bardzo dźwięczny i nastrój podniosły; myśl główna: podniesienie patryotyzmu. — Lucyan Siemieński wydrukował tu tłumaczenie Sonetu i Kanzony z pieśnioksięgu Dantego.

Tu należą także „Ptaszki" (dla czego nie Ptaki) przełożone przez Leszka Kożuchowskiego z Göthego. Jest to przerobienie komedyi Arystofanesa. Szkoda że nie wziął się kto do przetłumaczenia wprost z oryginału, któremu Göthe ujął największą wartość przez to, iż z satyry politycznej a nawet poniekąd religijnej zrobił satyrę na stosunki literackie.

Wielkiej wagi w naszych dzisiejszych stosunkach jest artykuł Michała Gliszczyńskiego pod tytułem „Gazeta Codzienna i Kraszewski". Śmiało staje tu osoba obca zupełnie stosunkom osobistym Kraszewskiego w obronie jego, równie jak dzisiejszego przedsiębiorcy Gazety Codziennej p. Kronenberga. Otwarcie, bez uprzedzenia i goryczy wyłuszcza p. M. G. intrygi knowane przez dziennikarzy Warszawskich na podkopanie tego przedsięwzięcia podjętego

z poświęceniem i w prawdziwie patryotycznych zamiarach. Rzucanie potwarzy przez współzawodników w dziennikarstwie (głównie ze strony Gazety Warszawskiej) powodowanych zawiścią kramarską przeciw Kraszewskiemu i Kronenbergowi za to że śmieli poświęcić pracę i pieniądze na podniesienie Gazety Codziennej miało ten smutny skutek, że wielu łatwowiernych dało się uwieść oszczerczym krzykaczom, i dali przy głosowaniu na wybór Kraszewskiego do Towarz. gosp. 140 czarnych gałek. Kraszewski potrzebuje obrony wobec narodu, bo komuś tam się podobało zwątpić o jego patryotyzmie. Przytaczamy własne słowa p. M. G. które żywo malują ten smutny stan naszej słabości w sądzie o ludziach.

„Szlachta polska znana jest z tego, że fanaberyjnie sądzi ludzi i rzeczy; niech jeden krzyknie: to Sokrates, Katon, wszyscy za nim chórem Sokrates! Katon! Niech jeden znowu krzyknie: Zdrajca! łotr! dalejże wszyscy: zdrajca! łotr! Ktoś jakiś, albo głupiec, albo zawistnik, tu w Warszawie krzyknął: żydowska gazeta, a Kraszewski żydowski sługa, zaraz przybyli z daleka ziemianie, nie znający nic a nic, ani ludzi ani stanu rzeczy zawołali: a tak, żydowska gazeta! Kraszewski żydowski sługa! nie przyjąć go do towarzystwa! rzucić czarne gałki!“

Przegląd piśmiennictwa Lucyana Siemieńskiego poświęcony jest tym razem literaturze ludowej i wychowaniu ludu. Uwagi p. Siemieńskiego bardzo są trafne i zdrowe w tej mierze. Sposób zaradzenia złemu stanowi szkółek, przez oddzielnie ku temu poświęconą kongregacyę religijną, byłby bardzo praktyczny.

Dalej zamieszcza zajmujące korespondencye z Krakowa, Wiednia, Paryża, Oxfordu i „Gazetkę literacką.“

Początki Lwowa.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że pierwsza wzmianka o Lwowie pochodzi z połowy XIII wieku, mianowicie z r. 1259, i założył go około r. 1250 Daniel Romanowicz, według *Ipatyewskiej letopisi*, która str. 197 tak opowiada co do zakładania miast przez niego: „był albowiem zajęty zakładaniem innych miast przeciw bezbożnym Tatarom,“ (*Bie bo grady inyja ziżdaj protiwu bezbożnym Tatarom;*) — nazwawszy go bądź od syna Lwa, bądź też od zabicia na polowaniu zbłąkanego lwa, jak memu ojcu na początku tego wieku opowiadało mieszczaństwo lwowskie. Otóż ten Lwów pierwotny znachodził się na miejscu Zniesienia, którego nazwa urobiona od tytułu cerkwi wzniesienia (wniebowstąpienia) pańskiego, dowodzi, że to co dziś tworzy wieś, było niegdyś jedną z parochii lwowskich. Mniemanie to nietylko potwierdzają potąd wieści ludowe, ale także ślady zamku drewnianego na górze Lwiej na przeciw zamkowej, który właśnie się znachodził nad Zniesieniem, jak sam o tem naocznie przekonałem się, jasno okazują. Ślady te składają się z głębokich zakrojeń podługowatego czworoboku od podwalin z znacznem zesypiskiem na stronie wschodowej. A *Ipatyewska letopis* w przytoczonem miejscu pod r. 1259, uwiadamia z powodu pożaru Chełma: „Taki zaś był płomień, że we wszystkich stronach widziana była łuna, jakoż i ze Lwowa patrzący po polach bełzkich widzieli łunę od płomieni wielkiego ognia.“ (*Siciu że płameni bywszu, jakoże co wseje zemli zarie widiti, jakoże i so Lwowa zriaszcze widiti po polem bielzskym od gorienija silnago płameni*). W teraźniejszem położeniu ze Lwowa niemasz żadnego widoku, a strona północna jest zasłonięta wysokiemi górami, z których w pogodne dnie nawet Karpaty można widzieć. Otóż ten Lwów pierwotny został z rozkazu Batuchana w obecności temnika tatarskiego Burondaja pod r. 1261 zburzonym według tejże letopisi str. 198: „Lew rozrzucił Daniłow i Stożek, ztamtąd posławszy Lwów rozrzucił.“ (*Lew rozmeta Daniłow i Strożek, ottoleże posław Lwow rozmeta*). Dzisiejszy Lwów założył na początku XIV wieku Lew Mścisławicz, wnuk Daniela a Synowiec Lwa, według *Letopisa wel. kniaź. litowskaho*, Rękop. f. biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, napisanego w połowie XVI wieku, w którym jako epilog znachodzi się powieść o ożenieniu się Zygmunta Augusta z Barbarą wdową po Gasztołdzie, gdzie na str. 238 powiedziano, że W. K. litewski Trojden, posłał syna swego Rymonta na Ruś do Lwa Mścisławicza, którego żona xiężniczka mazowiecka była rodzoną siostrą jego żony a matki Rymonta: „dla nauki języka ruskiego do Lwa Mścisławicza, który założył gród na imie swoje Lwów“ (*dla nauki jazyka ruskoho do Lwa Mśtisławicza, kotoryj założył horod wo imia swoje Lwow*). Ten Rymont przyjąwszy religię chrześciańską, rozmiłował się w życiu zakonnem, został czerńcem na imie Ławr i spólnie z Lwem Mścisławiczem założył monastyr Ławrów w obw. sambor., gdzie też obaj w srebrnych trumnach, jak mi opowiadał ś. p. Kompaniewicz, pochowani zostali.

Jan Wagilewicz.

Kronika literacka.

Jagiełło w poemacie francuzkim. Wiktor Hugo napisał cykl poematów pod nazwą: „la legende des siecles“. Podejmujemy jeden z tych poematów, który nosi napis: „Ewiradnus“, a to dla tego, że jednym z bohaterów jest nasz Jagiełło. Jakim sposobem dostał się do tego poematu, trudno odgadnąć. Wiktor Hugo wprowadza go jako młodego trubadura współce z cesarzem Zygmuntem, z pieśnią w ustach, a czarnemi myślami w duszy. Treść poematu jest następująca: Był sławny rycerz Ewiradnus rodem z Alzacyi, który cały świat napełnił sławą swoją. Razu jednego w ciemnym borze podsłuchał cesarza Zygmunta zmawiającego się z królem Jagiełłą, aby zabrać księztwo Łużyckie. Mieli do tego użyć haniebnego podstępu. Zamek „Korbus“ odwieczna siedziba książąt łużyckich. Mury jego opasuje bluszcz i powój, tu i owdzie widać już gruzy. Nikt tu nie mieszka, tylko duchy zaklętych rycerzy. Co lat kilkanaście ożywia się jednak to zamczysko, w oknach jego płonie światło tajemnicze. Zwyczaj chce, aby każdy nowy margraf łużycki, biorąc dziedziczne berło, wieczerzał sam jeden w najwyższej baszcie zamku Korbus, i przepędził w nim noc samotnie. W wieku XV wygasła linia męzka. Księżniczka Mahaud podejmowała berło łużyckie. Była to dziewica dwudziestoletnia, również piękna jak wesoła. Nie wiedziała że dwóch „czarnych sąsiadów“ (cesarz Zygmunt i Władysław Jagiełło) przyzwawszy w pomoc szatana, sprzysięgło się na jej zgubę. Nadchodzi owa noc czerwcowa, przeznaczona na tradycyjny obrzęd. Zastawiają wieczerzę w odwiecznej baszcie zamku Korbus.

Wchodzi ukradkiem siwy rycerz Ewiradnus, a strąciwszy jednego z żelaznych rycerzy z żelaznego konia, które tutaj na około komnaty stały, siadł sam i czuwa nieruchomy jak posąg. Odmykają się drzwi, wchodzi księżniczka Mahaud w złotej szacie. Za nią dwaj młodzieńcy; jeden Joss lutnista, drugi mały trubadur Zeno. Obaj towarzyszą potajemnie księżniczce, która nie ma odwagi wieczerzać sama jedna. Po chwili zaczęło wino działać, księżniczka skłania głowę i z uśmiechem na ustach zasypia.

— Ona spi, rzecze Zenon, ciągnijmy losy.

Jeden miał posiąść margrabstwo, drugi piękną dziewicę.

Rozpoczyna się gra w kości. Lutnista wygrywa koronę.

— Co do mnie, wolę mój udział, rzecze trubadur.

— Co myślisz z nią uczynić? zapyta Joss.

— Myślę ją zabić, odpowie drugi.

— A co powie dwór? zagadnie lutnista.

— Padnie czołem przed nami, dowiedziawszy się kto jesteśmy, odpowie trubadur.

I biorą dziewicę i wloką na brzeg przepaści. Wtem krzyknie jeden z stojących rycerzy: Stój, Zygmuncie! Stój, Władysławie!

— Kto jesteś? zapytują obaj zdziwieni.

— Jam sędzia, odrzecze Ewiradnus, jam mściciel pogwałconego prawa, jam miecz sprawiedliwej pomsty Bożej. Już dla was wybiła straszna godzina kary, tu potwory odpokutujecie zbrodnię waszą!

Władysław Jagiełło i cesarz niemiecki Zygmunt (Zenon i Joss) występują do walki. Jagiełło chce podstępnie ugodzić nożem rycerza, ale pada trupem. Cesarz niemiecki walczy, lecz ustępując przed nacierającym wpada w przepaść. Ewiradnus rzuca za nim trupa Jagiełły. Wtem ozwały się dzwony, jutrzenka świta, a lud z wieńcami przybywa po księżniczkę.

I tak poczciwy nasz Jagiełło zamyka w ten sposób cykl „błędnych rycerzy" w poemacie Wiktora Hugo. Tworzy on z cesarzem niemieckim spółkę jakichś rozbójników. Podczas gdy Zygmunt łupi ląd stały, Jagiełło opanował całe morze Celtyckie i rozsyła „dyabelskie okręta" po dalekich falach północy, aż na wybrzeża Islandyi!

— W Poznaniu wydał Żupański „Opowiadania historyczne," zawierające artykuły drukowane dawniej w pismach Warszawskich pod tytułem „Kronika Hetmolda"; Wzięcie Poznania przez Konfederatów tarnogrodzkich w dniu 24. Lipca 1716. Niewola Franciszka Ponińskiego, stolnika poznańskiego, starosty Kopanickiego, na Sonensteinie roku 1734; Powstanie Kościuszki w Kurlandyi. Wspomnienia z czasów Prus południowych.

— W Paryżu nakładem Wilczyńskiego wydawcy Album wileńskiego wyszły w 4ce: „Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy" z drzeworytami podług rysunków autora J. I. Kraszewskiego, który we wstępie pisze: „Kto inny lepiejby może potrafił odmalować fizyonomię kraju, ludzi i rzeczy, ale inaczej, ale nie po mojemu. Książka byłaby się zawsze kłóciła z rysunkami, rysunki przymawiałaby jej, ona im: tak jak są, będą przynajmniej w najlepszej zgodzie".

— Aleksander hr. Stadnicki pracuje obecnie nad zebraniem materyałów do historyi osiedlenia Małopolski i Rusi Czerwonej. Ciąg rozpraw, które przygotowywa, będzie ogłoszony w Rocznikach Tow. Naukowego Krakowskiego.

— Biblioteka Warszawska donosi: Kuryer Wileński rozszerza coraz więcej swoje ramy: wszyscy znakomitsi i zasłużeni pisarze litewscy (Polacy) wspierają ten organ. Mikołaj Malinowski, A. E. Odyniec, Syrokomla, Ign. Chodźko i wielu innych. Kuryer dobrze i starannie redagowany wprowadził do Nr. 11 dział nowy, który już Teka Wileńska obejmowała: „Bibliografii Wileńskiej" zaczynając od Listopada roku zeszłego. Ważny to będzie materyał do bibliografii polskiej.

— W Wilnie wyszły: „Rarogi salonowe" przez Bociana wileńskiego. Jestto znany z talentu dawny współpracownik „Wolnych żartów". Autor Rarogów zapowiada wydanie dalszych seryi pod nap. „Rarogi obywatelskie i Rarogi urzędnikowskie".

— PP. Bronisław i Witold Marczewscy inżynierowie komunikacyi i drogi żelaznej ogłosili prospekt na dzieło: „Zbiór wiadomości politechnicznych", w którem ma być zebrany dokładny obraz dzisiejszego stanu politechniki pod względem teoryi i praktyki, oraz ruchu naukowego i przemysłowego tak w kraju jak za granicą. Będzie to jedyne tego rodzaju dzieło polskie. Wychodzić będzie zeszytami.

— W Kijowie wyszedł Latopis Nestora stary tekst mnicha Ławrentego z XIV wieku. Oddział I. Część przez Schlösera krytycznie opracowaną przepolszczył Julian Kotkowski.

— Roman Zmorski przesłał serbskiemu towarzystwu naukowemu swój poemat tłumaczony z serbskiego pod tyt. „Marko Królewicz, Narodowe pieśni serbskie", wydany w Warszawie w roku 1859. Towarzystwo przyjęło, składa publicznie dzięki za to i oddaje wielkie pochwały tłumaczeniu.

— Legenda staroczeska zawierająca: „Żywot św. Katarzyny" wydana obecnie w Pradze, zwraca na siebie uwagę znawców literatury starosławiańskiej. Rękopism odszukany w roku 1850 przez p. Józefa Peczirkę w król. bibliotece w Sztokholmie leżał tam lat przeszło 200, lecz dawnością swoją sięga czasów rękopisu królodworskiego. Legenda odznacza się wszelako gdzie niegdzie starszemi jeszcze formami języka i objaśnia poniekąd „Lubuszyn sąd". Dzienniki czeskie przytaczają niektóre z tych form językowych obcych dziś Czeszczyźnie a zachowanych dotąd w polskim języku np. mistrz (Czesi piszą dziś i mówią: mistr), zawsze (w dzisiejszej Czeszczyźnie: wždycky) drzwi, zwyczaj, napaść i t. p.

— Henryka Nowakowskiego dramat: *Dwa pożegnania* będzie przedstawiony na tutejszej scenie d. 23. Kwietnia na benefis panny *Kaczkowskiej*.

Różności.

— Słońce nasze krąży około kwoczki. Słońce, ten król naszego systemu planetarnego należy do wielkiej rzeszy niebieskiej wspólnie z innymi podobnymi królami, z których każdy otoczony jest również orszakiem dworzan planetowych. Te zaś słońca ze swemi orszakami planet stanowią, jak nas pouczają astronomowie, znowu orszak innego arcysłońca i na około niego krążą. Tak postępuje niezawodnie w nieskończoność ustrój hierarchii niebieskiej. Jednem tedy z arcysłońc w około którego krążą inne słońca ze swemi podsłońcami, słoneczkami, planetami i księżycami, jest jedna z gwiazd konstelacyi zwanej Plejadami, a po naszemu kwoczką. Wprawdzie nazywamy kwoczką zwykle to całe stado gwiazd, ale rozumie się że tylko jedna z nich kwoką być może. Owe słońca w około niej to kurczątka — czemże my jesteśmy w tem morzu gwiazd? Oddalenie kwoki od nas jest prawdopodobnie tak wielkie że światło, które przebiega 40.000 mil na sekundę potrzebuje 4.000 lat by przebiedz tę przestrzeń. Więc jeżeli jaki bystrooki dostrzegacz na arcysłońcu nas swoją uwagą zaszczyca, widzi dopiero czasy Noego na naszej ziemi.

— Pan Prażmowski opowiedział na drugiej prelekcyi astronomii, które się odbywają w Warszawie w salach resursy kupieckiej, zdarzenie z życia astronoma Elliota. Elliot, astronom angielski jeden z twórców teoryi fizycznej planet, powszechnie dziś w astronomii uznany, zabił nieszczęśliwym przypadkiem w przystępie zazdrości swoją kochankę. Adwokat zamiast obrony przeczytał sądowi przysięgłych: „Elliota wykład teoryi," i przysięgli uznali go niewinnym jako człowieka pozbawionego zmysłów.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.